TYDZIEŃ

Nr 29 (53) ROK II

20. VII. 1947

CENA 20 ZŁ



W III ROCZNICĘ WYZWOLENIA

NASZA OKŁADKA



Rys. B. W. Linke

W III ROCZNICĘ WYZWOLENIA

tak i nie

Zmartwienia prezydenta Nowego Jorku

PREZYDENT Nowego Jorku O'Dwyer otrzymuje każdego miesiąca przeciętnie 7.000 listów. Niektóre z tych listów są dość ambarasujące i prośby w nich zawarte dość nieoczekiwane:

„Mam trzydzieści dwa lata. Jestem wysoki i mam puszyste, skręcające się w loki włosy. Mieszkam w Australii i proszę o umożliwienie mi porozumienia się z jakąś Amerykanką, która by zechciała zostać moją żoną i opłacić koszta podróży. Wiek bez znaczenia".

Rekord został jednak pobity przez pewnego Nowojorczyka, który nadesłał list o następującej treści:

„Panie prezydencie, mam tylko jedną parę kalesonów. Ponieważ mamy ten sam wzrost, prosiłbym pana o przysłanie mi dwóch czy trzech par swoich kalesonów, raczej długich...".

W ministerstwie praca wre

W JEDNEJ z sekcji brytyjskiego ministerstwa kolonii miało ostatnio miejsce wydarzenie o zacięciu wręcz teatralnym. Mianowicie całkowita korespondencja tej sekcji była załatwiana w sposób następujący: wszystkie listy zredagowane w ciągu dnia były składane do wielkiego kosza od papierów. Posłańcy mieli za obowiązek wysyłanie tych listów rano dnia następnego. Lecz o ile posłańcy londyńscy są rannymi ptaszkami, o tyle sprzątaczki londyńskie mają w tej dziedzinie jeszcze większą ambicję. Nic dziwnego więc, że sprzątaczki, przybywając do pracy przed posłańcami, wypróżniały sumiennie wszystkie kosze. Skutki tej sumienności nie potrzebują komentarzy. Według jednego z dzienników londyńskich tego rodzaju gospodarka ministerialna trwała od wielu tygodni.

„Korned-bifem" przez Europę

EWA PERON skończyła już swoje tourné po Hiszpanii. Dalsza jej droga to Włochy, gdzie była przyjmowana nie mniej entuzjastycznie. W następnym rzucie znajduje się podobno Zurych, Londyn, Paryż. Ta ambitna żona ambitnego argentyńskiego dyktatora zasługuje mimo wszystko na uwagę. Była gwiazda filmowa, pomagająca w dorwaniu się mężowi do władzy, Ewa Peron, postanowiła zaimponować arystokratom argentyńskim, którzy odnoszą się do niej dość sceptycznie. W pierwszym rzędzie chciała przeciwstawić wyniosłości arystokratów entuzjazm „Hiszpanii". Ewa Peron w Hiszpanii to nie tylko słowa o „prawdziwej i pomagającej sobie demokracji hiszpańskiej i argentyńskiej" (sic!), to również zapowiedź okrętów naładowanych „korned - bifami" i zbożem. A za „korned-bify", jak twierdzi Ewa Peron, można mieć świat u swoich stóp. Lecz mimo, że otrzymała ona już z rąk Franco Wielki Krzyż Izabelli, mimo że wizyta we Włoszech wypadła okazale (i Papież i premier, i okrzyki „tłumu": „niech żyje faszyzm!") — niemniej dalszy podbój Europy przez peronowski „korned-bif" znajduje się pod znakiem zapytania. Bo jeśli nawet w dobrze umiejącej liczyć Anglii ukazał się artykuł o wołowych literach tytułu „Wizyta żony Prezydenta jest niepożądana!" (Sunday Pictorial), to reakcja Francji na wizytę rzeczniczki „prawdziwej demokracji" (tej argentyńskiej czy hiszpańskiej) nie powinna pozostawiać pięknej Ewie żadnych złudzeń.

Bazy strategiczne za kostium kąpielowy

MAŁA republika murzyńska, Liberia, jest, jak się zwykło mówić, państwem niepodległym. Nad dwoma milionami mieszkańców sprawuje rządy około 30 tysięcy Murzynów, którzy przybyli tu za protekcją wuja Sama ze Stanów Zjednoczonych. Prezydent republiki, wybierany co cztery lata, otoczony jest doradcami amerykańskimi, którzy ostatnio podarowali prezydentowi auto. Auto stoi jednak najczęściej w garażu, gdyż w republice znajduje się jedna jedyna droga o długości 800 kilometrów. Gdy głowa liberyjskiego państwa udzieliła ostatnio Ameryce baz w pobliżu Dakaru, prezydent Truman ofiarował w podarunku swojemu koledze prezydentowi, zapalonemu pływakowi, kostium kąpielowy.

Film i medycyna

AKADEMIA medycyny zainteresowała się dwoma niezwykle ciekawymi wypadkami. Chodzi o dwoje dziewcząt, z których jedna, w Strasburgu, oślepła po zobaczeniu filmu „Symfonia pastoralna", druga z nich natomiast, w Marsylii, usiłowała popełnić samobójstwo po zobaczeniu filmu „Oślepła Venus". Akademię interesuje problem, czy i w jakim stopniu filmy mogą wpływać na stan fizyczny i psychiczny widza.

Purytańska Kanada

PO ZABRONIENIU, ze względów „moralnych", wyświetlania francuskiego filmu „Dzieci raju", prasa kanadyjska wzięła się z kolei do dwóch powieści Jacques Baifa „Les navires truques" i „l'Oiseleur des Ombres". Obie te książki, według moralistów kanadyjskich, są przyczynkiem do „kultury w stanie zgnilizny". Najbardziej ciekawy w tym wszystkim jest fakt, że Jacques Baif, który został ostatnio mianowany kawalerem Legii Honorowej, jest gorąco popierany przez sztandarowego katolickiego pisarza Francji, François Mauriac?

50 procent Niemców chciało by zostać Amerykanami lub Szwajcarami

WEDŁUG obliczeń przeprowadzonych przez instytut społeczno - psychologiczny w Baden - Baden (strefa francuska) więcej niż połowa Niemców chciałaby opuścić swój kraj. Większość z nich należy do wolnych zawodów. Robotnicy, którzy w o wiele większej mierze znajdują możliwość zarobkowania, nie palą się specjalnie do emigracji.

Amatorzy wyjazdu chcieliby znaleźć dla siebie Lebensraum przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych i Szwajcarii. O Francji nie chcą natomiast zupełnie słyszeć. Zrozumiałe.

Prasa w Norwegii

NORWEGIA narówni ze wszystkimi krajami europejskimi przechodzi proces wzrostu zainteresowań czytelniczych. Obecnie ukazuje się tam 200 czasopism o łącznym nakładzie 1.500.000 egzemplarzy. Jest ich dwukrotnie więcej niż przed wojną. Natomiast liczba dzienników uległa zmniejszeniu.

Jedynie socjalistyczny „Arbeiderbladet" i 39 innych tygodników partii pracy (socjalistycznej) wskazuje wyraźnie w nagłówkach, jakie stronnictwo reprezentuje. Zresztą dzienniki socjalistyczne należą bądź do partii, bądź do kombinowanych zespołów spółdzielczych i zawodowych. Inne natomiast gazety są bądź własnością prywatną wydawców lub kolegium redakcyjnego. Wprawdzie nie ma w Norwegii trustów wydawniczych, ale również w tym kraju widać, że dążenie do stworzenia prasy uspołecznionej jest jedną z podstawowych idei i zasad socjalizmu.

W imię szczęścia ludzkości

W RIO DE JANEIRO powstał nowy klub, którego działalność nie wykracza poza dziedzinę kostiumów kąpielowych. Członkowie klubu, zapaleni obrońcy moralności publicznej, spędzają długie godziny na plażach kiarując kąpiącym się, że w imię szczęścia ludzkości winno się skończyć ze skąpstwem przy szyciu kostiumów. Poświęcenie członków klubu idzie tak daleko, że ofiarują bezpłatnie kostiumy kąpielowe o kroju bardziej purytańskim. Jak wynika z dotychczasowych rezultatów tej zbożnej akcji, członkowie klubu nie będą się mogli uskarżać do końca życia na brak pola do działalności.

Błękitna krew

LADY Iris Mountbatten, która po ukończeniu kariery sprzedawczyni materiałów, stała się profesorem tańca w Waszyngtonie, ma jednak więcej szczęścia niż jej kuzynki germańskie, na próżno szukające pracy w Stanach Zjednoczonych. Potomkini królowej Wiktorii, księżniczka Wiktoria - Marina, marzy o zajęciu sekretarki. Co do Wiktorii - Cecylii - Ireny Małgorzaty Heskiej, marzy ona o znalezieniu pracy jako pokojówka.

Gangsterzy „typ 1947"

SZEF specjalnego oddziału policji tzw. F. B. J., Edgar Hoover, poinformował przedstawicieli prasy o nowej fali wyczynów gangsterskich w Stanach Zjednoczonych. Nowi gangsterzy posługują się ostatnimi zdobyczami techniki, wprowadzonymi podczas wojny. Między innymi używają oni przenośnych aparatów radiotelegraficznych, uniemożliwiających policji złapanie zbrodniarzy na gorącym uczynku; gangsterzy uprzedzeni na czas o zbliżaniu się policji, mają zawsze możność ucieczki. P. Hoover oświadczył, że nie zdziwiłby się, gdyby gangsterzy zaczęli używać bombowców nurkujących, których tysiące zostało sprzedanych z demobilu ludziom prywatnym.

Interesujące jest, że wśród nowych band gangsterskich prawie nie ma byłych żołnierzy. Członkami band są przede wszystkim młodociani, poniżej lat dwudziestu.

Na śladach lynczu

OD ROKU 1882 do 1946 zostało zlynczowanych w Stanach Zjednoczonych 4.800 Murzynów (przeciętnie: 70 Murzynów rocznie). Wbrew utartej już opinii, lyncze mają miejsce nie tylko w południowych stanach USA; Stany północne mają w tej dziedzinie również bogate konto. W ostatnich czasach zostało zlynczowanych 47 Murzynów w stanie Indiana, 32 w Illinois, 26 w Ohio, 21 w Oregon i 2 w Nowym Jorku.

Ostrze na ostrze

NA USZKO...

Niedawno temu prasa doniosła o pewnym procesie, który odbył się przed Trybunałem Wojskowym Sądu Rejonowego w Poznaniu. Główny oskarżony Władysław Uszko (nomen — omen) skazany został na 5 lat więzienia za szerzenie fałszywych i szkodliwych plotek, godzących w obecny ustrój Państwa Polskiego.

Być może, niejeden czytelnik, pochłonięty wiadomościami o wielkich a ważnych wydarzeniach, dziejących się na szerokim świecie, obojętnie prześlizgnął się po tej notatce. Cóż — nic wielkiego, ktoś tam coś szepnął niebacznie, jakąś plotkę, jakąś bzdurę. Posiedzi. Odechce mu się na przyszłość pleść głupstwa. Ktoś inny może sarknie z niezadowoleniem na temat ograniczenia „swobody słowa" — oburzy się na zbyt surowy wyrok. 5 lat — za co? Za to tylko, że plotkował? Iluż ludzi trzeba by było u nas skazywać za takie rzeczy?

Właśnie o to chodzi. Sprawa Władysława Uszko nie jest sprawą błahą. Jest to bowiem pojedyńczy przypadek naszej wielkiej choroby społecznej. Przypadek tym cięższy, tym boleśniejszy, iż oskarżony był kierownikiem szkoły powszechnej — a zatem człowiekiem, obarczonym tak wielką odpowiedzialnością, jak wielkie jest zadanie ukształtowania umysłów młodego pokolenia. Nie dorósł do tego zadania. Dobrze się więc stało, że przestaje je wykonywać. Jest to jednakże jedna dopiero strona zagadnienia - casus Uszko.

Drugą stroną jest pytanie — jak to się dzieje, że błąd siania plotki, manja bezmyślnego lub umyślnego, celowego szerzenia kłamstwa i bzdury tak opanowała nasze społeczeństwo, iż zarazie tej nie potrafią się częstokroć oprzeć ludzie rozsądni, ludzie, od których mamy prawo wymagać zastanowienia się nad swoimi słowami? Słowo — najwspanialsza zdobycz rodzaju ludzkiego, wyróżniająca człowieka w otaczającym go świecie nie znających czaru mowy dwu, czworo i wielonogów — ulega dewaluacji, spodleniu. Słowo staje się ohydą, narzędziem oszczerstwa, kłamstwa i obelgi.

Zaczęło się — jak wiele innych naszych bolączek — w czasie okupacji. Nie znaczy to, by przed wojną nie plotkowano wcale. Ale wojna, jak każde amoralne warunki bytowania, wyjaskrawia i rozwija ponad przeciętną miarę zarówno złe jak i dobre cechy i skłonności.

Wówczas — odcięci od świata gnębieni i walczący — znaliśmy tzw. agencję informacyjną „J.P.P." — Jedna Pani Powiedziała... karmiliśmy naszą otuchę fantastycznymi niaraz wiadomościami, wędrującymi z ust do ust i szeptanymi na ucho. Wierząc i nie wierząc, pobłażliwie i chciwie zarazem, łykaliśmy prawdę i plotkę.

Dziś, zamiast tego, by powędrować do smutnego lamusa wspomnień wojennych, plotkarstwo kwitnie nadal. Ale już nie ma w nim szczypty krzepiącej otuchy — jest po prostu i tylko gorzkim chwastem, zanieczyszczającym zdrowe zboże. Takim samym chwastem o wojennych korzeniach, jak szaber, czarna giełda i pijaństwo.

Plotka dzisiejsza sieje spustoszenie w ludziach rozsądnych. Stroi się nierzadko w pawie piórka pseudo-patriotyzmu, usiłuje imitować potrzebną, poważną, rzeczową krytykę. Plotka hula. Oczernia ustrój, usiłuje szkodzić dobrosąsiedzkim stosunkom. Niebywałe brednie szkalują ludzi począwszy od stojących najwyżej, a na prywatnych znajomych kończąc. Krzywda dla państwa, dla narodu, krzywda dla człowieka.

A rozpełza się bzdura i plotka z niepowetowaną szkodą dla wielu spraw ważnych i najważniejszych — podstępnie, z domyślnym uśmieszkiem, znaczącym niedopowiedzeniem, z ust do ust, po cichu — na uszko...

Dlatego poznańska sprawa Władysława Uszko jest ostrzeżeniem. Jest alarmem.

Avis.

M. Rymsza

KRÓTKI CZAS wielkie WYNIKI

Trzy lata upłynęło od chwili, kiedy wojska polskie i radzieckie wyzwoliły Lublin, trzy lata od dnia ogłoszenia przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego pierwszego Manifestu do Narodu Polskiego. Było to wydarzenie podstawowe dla nowej rzeczywistości polskiej.

Manifest P.K.W.N. ustalił bowiem naszą pozycję w Europie, stwierdził nasze prawa do Ziem Zachodnich po Odrę i Nisę Łużycką; stworzył możliwości, w oparciu o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, dla spokojnej pracy nad utrwaleniem niepodległego Państwa Polskiego na mocnych podstawach geopolitycznych.

Dał też wyraz głębokiej przemiany społeczno - politycznej; stworzył nową wszechstronną, a więc prawdziwą demokrację, w której najważniejszą rolę odgrywa praca; oddał w ręce całego narodu, a nie tylko pewnych grup uprzywilejowanych decyzję w zasadniczych sprawach społecznych, gospodarczych i politycznych; zapewnił mu przez reformę rolną i upaństwowienie wielkiego i średniego przemysłu potężny i bezpośredni udział w gospodarce narodowej zapowiedział udostępnienie dóbr kulturalnych wszystkim bez wyjątku obywatelom, kładąc podwaliny pod to, by społeczeństwo polskie stało się w pełni narodem świadomym swych dążeń i celów.

Trzeba było jednak czekać sześć miesięcy na wyzwolenie Warszawy, a dziesięć miesięcy na zakończenie wojny i uwolnienie całego terytorium państwa polskiego spod okupacji niemieckiej — ażeby móc przystąpić do realizacji programu nakreślonego w Manifeście PKWN. W ciągu dwóch lat dzielących nas od zakończenia wojny, dokonano bardzo wiele. Musi to przyznać każdy, nawet najbardziej zagorzały przeciwnik rządów demokratycznych.

Nie będziemy tu podsumowywali cyfrowo osiągnięć obozu demokracji polskiej i wykazywali na podstawie liczb naszego dorobku gospodarczego, kulturalnego czy politycznego. Wystarczy spojrzeć dokoła, aby ocenić sukcesy naszej odbudowy we wszystkich dziedzinach naszego organizmu państwowego.

Odbudowa zniszczonych fabryk i warsztatów pracy; odbudowa mostów, sieci kolejowej, tramwajowej, elektrycznej, wodociągowo - kanalizacyjnej gazowej, uruchomienie tysięcy szkół i zakładów naukowych; szkolenie kadr nauczycielskich, młodzieżowych i fachowców; powiększenie (w porównaniu do stanu przedwojennego) ilości wyższych zakładów naukowych i udostępnienie ich warstwom najbardziej dotychczas upośledzonym; obsadzenie opustoszałych katedr profesorskich; przeprowadzenie reformy rolnej i upaństwowienie wielkiego i średniego przemysłu; rozbudowa spółdzielczości; zagospodarowanie ziem zachodnich; rozładowanie podziemia i umożliwienie powrotu do pracy i normalnych warunków życia tysiącom zbłąkanych osób; przeprowadzenie wyborów do Sejmu Ustawodawczego, opracowanie i konsekwentne realizowanie planu trzyletniego i wiele innych posunięć Rządu, z których każde jest wyczynem wielkim, jeśli się zważy ogrom zniszczeń, jakie zastaliśmy po hitlerowskim okupancie. Wszystko to przyczynia się do stabilizacji stosunków i normalizacji życia. Osiągnięcia są istotnie duże. Oceniamy to nie tylko my, oceniają to i obcy, którzy mają możność bezpośredniego zapoznania się z wynikami naszej pracy.

Na ten sukces składają się wysiłki Rządu i całego społeczeństwa polskiego. Zdarzają się jeszcze tu i ówdzie parszywe owce, ale liczba ich stale maleje.

Nie należy jednak poprzestawać na dotychczasowych wysiłkach. Musimy je podwoić, wykonać więcej niż w 100 proc. nakreślony plan trzyletni, jeśli chcemy zachować swoją suwerenność i żyć w znośnych warunkach. Jedynym naszym kapitałem bowiem jest praca, musimy więc dążyć, aby procent dochodowości od tego kapitału był możliwie największy. Konieczne to jest przede wszystkim teraz, kiedy zaledwie w dwa lata po zakończeniu wojny, a przed podpisaniem jeszcze pokoju, Anglosasi chcą już uznać Niemcy za europejskie mocarstwo gospodarcze i postawić je na równej, a nawet wyższej stopie niż inne narody Europy.

Oparcie w swej pracy i zrozumienie dla naszych wysiłków znajdziemy wśród narodów słowiańskich, miłujących pokój, które tak, jak my zagrożone są ze strony Niemiec, dla których sprawa odbudowy gospodarczej i politycznej Niemiec nie może być obojętna.

O tym wszystkim pamiętać musimy wkraczając w czwarty rok odrodzenia Państwa Polskiego w nowych demokratycznych formach ustrojowych.

„BŁYSKAWICA" W GDYNI

W dniu 4 bm. zawinął do portu w Gdyni okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Błyskawica", który w 1939 r. przedostał się do Anglii i przez 5 i pół lat walczył obok jednostek brytyjskich w obronie Anglii. — Powrót „Błyskawicy" jest wynikiem prawie 4-miesięcznych pertraktacji, prowadzonych w Londynie przez misję Ministerstwa Obrony Narodowej



Szkocki kociak — maskota O.R.P. „Błyskawica"
Fot. Film Polski



O.R.P. „Błyskawica" w porcie Gdyńskim



W chwili po wylądowaniu por. [illegible] wita się z rodziną po 8 latach rozłąki
Fot. Film Polski

WARSZAWIAK

Z książki Karola Zbyszewskiego

— Gdzie się pan urodził, panie Antoś?

— Gdzie rodowity warszawiak może być urodzon?

Wiadomo — na Solcu pod 17-ym.

Jako prawdziwy powiślak Antoś nienawidzi wody. Zdradziecka woda uczyniła jego dziadka sierotą, gdy pradziadzio po pijanemu wpadł do Wisły i utonął. Odtąd cały ród stroni od tej zarazy.

Gdy w St. Marcel gruchnęła wśród brygady podhalańskiej wiadomość, że jedziemy do Norwegii, — i to okrętem, — Antoś nie uwierzył:

— Cyganią tak tylko chamy, żeby ludzi straszyć. Czego zaraz okrętem. Jakaś kolej może okrężna, ale się przecie znajdzie.

250 km do Brestu jechał samochodem w najlepszym humorze, dopiero w chwili gramolenia się na statek poczuł się słabo. Gdyby nie litr pinardu, przełknięty na brzegu, wątpliwe czyby zdołał wejść o własnych siłach.

Cała podróż była dla Antosia jednym koszmarem. Bo niedość, że bomba spadnie na głowę — jeszcze się potem wleci do wody.

— To ja — żalił się Antoś — na Bielany w Zielone Święta nigdym się narzeczonej na statek namówić nie dał, zawsze tramwajem, w tłoku, na stojaka, jechalim. Pękłaby tera Mańka ze śmiechu widząc mnie wpadającego w środek tego morzyska.

Norwegia nie podobała się Antosiowi.

— Nie sprzyjający kraj dla miłości — orzekł — ciągle jasno, kiedy tu młodzi mają chodzić?

Nie zna Antoś Polski. Nigdy nie był w Krakowie, Poznaniu, Radomiu, nawet w Piasecznie. Co tam mogło być ciekawego? Niech chamy przyjeżdżają do Warszawy rozdziawiać oczy, ale warszawiak czego na prowincję pojedzie? Co on, krowę będzie oglądał?

I nagle przymuszony, zwiedził Antoś Bukareszt, Budapeszt, Paryż. Owszem, niezłe miasta, ale kudy im do Warszawy.

— Patrz pan, paryżanie niby też stołeczny naród, a nie mają tej śmiekalki co warszawiacy. Widziałem jak policjant na tym placu Kąkorduli faceta zatrzymał, za kołnierz do komisariatu jak barana powlókł. Nie przyszło frajerowi do głowy glinę w dechę bykiem ugodzić, szmyrgnąć w bok. Wtedy publika niby to rzuca się glinę podnosić, depcze go trochę, tarasuje drogę, puszcza dopiero gdy śladu po tamtym już nie ma. Każde dziecko u nas na Powiślu wie, że tak się z gliną postępuje, a patrz pan te paryżany — niby takie uczone — a nie znają tej podstawowej maniery.

Rumunia, Węgry, Jugosławia, Włochy, Francja, Norwegia, Anglia — zwiedził Antoś kawał Europy, a jednak w dyskusji politycznej ujawnia pewne nieotrzaskanie z geografią. Tłumaczy z zapałem:

— Teraz Grecy ruszą naprzód przez Gibraltar, wedrą się do Francji — i póóójdzie...

Albo:

— Powinni nas Polaków do Irlandii posłać!

— Chce pan znowu morzem jechać?

— Jakto.. To do Irlandii nie ma szosy?

— Z geografii w szkole pan chyba nie był celującym uczniem, panie Antoś.

— Po diabła mi to. Sternikowi czy maszyniście powie się gdzie jechać — on już zawiezie.

Można poprawić Antosia, że Albania nie graniczy z Egiptem, że Indie nie leżą bezpośrednio u wylotu kanału Sueskiego. Zgodził się. Omylił się. Lecz okropnie jest wzburzony, gdyż ktoś opowiada jak po-



Norwegia nie podobała się Antosiowi. — Niesprzyjający kraj dla miłości...

znał dziewczynę w Warszawie na rogu Ciepłej i Wolskiej.

— Kłamiesz chamie!

— Ależ naprawdę.

— Żebyś się w słup telegraficzny zamienił jeśli taki róg istnieje.

Co za obraza była gdy ktoś podał w wątpliwość czy on, Antoś, wie gdzie znajduje się ulica Furmańska. Jakto? ta krótka uliczka, przylegająca do Bednarskiej, z kocimi łbami, z mizernymi klonami, wzdłuż chodników, z knajpą Tłustego Franusia pod 6-ym! Takich rzeczy może nie wiedzieć jakiś byk — pułkownik z cenzusem, ale nigdy szanujący się strzelec — warszawiak.

I rzucił Antoś śmiałe wezwanie:

— Jeśli mi ktoś powie ulicę cobym nie wiedział gdzie jest w Warszawie — przez cały tydzień nie zgłoszę się ani razu do doktora, choćby najcięższe ćwiczenia wypadały.

Mimo krzyżowego ognia pytań, nie doszło dla lekarza do tej katastrofy.

Dla Antosia Polska jest tylko dodatkiem do Warszawy:

— Patrz pan — mówi — że nasze miasto broniło się samo jedno dłużej niż całe państwo. A jeszcze przecie nie wszystkie nasze chłopaki były. Żeby nie ten co to przez radio młodym wychodzić ze stolicy kazał — zostałbym i ja i inni z Powiśla, Woli, Targówka. No i przynajmniej o tydzień dłużej Warszawa by się trzymała.

Rad jest Antoś z każdej przetrzymanej przez Warszawę godziny, zrozpaczony z każdej rozwalonej kamienicy. Wszystkie zniszczenia w Polsce wydają mu się drobiazgami.

— Co tam Lublin — macha lekceważąco ręką — co tam Garwolin, Lwów — to nie takie potrzebne. Ale cała Chmielna w gruzach. Kiedy wrócimy, to gdzie się skórę znajdzie, gdzie człowieka ondulowanego zapozna?

Ma Antoś pańską pogardę dobrze urodzonego w stosunku do motłochu. Przedstawiając się jakimś Szkotom, zawsze zaznacza:

— I am Warsaw — no prowincja!

I dziwi się gdy ta frapująca wiadomość nie wywiera należytego wrażenia.

Przyjechała do naszego miasteczka „Lwowska fala". Poszedł Antoś na przedstawienie, lecz nie chował potem swych spostrzeżeń w kieszeni:

— Mizeroty jedne! Ani to prezencji nie mają, ani tej dystynkcji scenicznej. Gdzie im do Faliszewskiego!

— Jednak publiczności się podobało.

— Ciemna masa bez zrozumienia żadnego. Biły te chamy z prowincji brawo, aż im ręce puchły. Pewnie, jak nic naprawdę dobrego nigdy w życiu nie widziały. Zobaczyliby rawię w kinie „Kometa" albo w „Bajce", na Żelaznej — to były rewie! Owszem, starają się ci lwowiacy, ale tego drygu, tej aparycji potrzebnej nie umieją.

Pouczająco jest słuchać wspomnień Antosia z cywila. Pracował w stacji obsługi Fiata na placu Piłsudskiego.

— Jak się panu tam zarabiało, panie Antoś?

— Och doskonale! Zajeżdża limuzyna, widzę po tablicy, że z Kieleckiego. Wychyla się gruby facet i dysponuje: „2 litry castrolu!". „Na rozkaz panie dziedzicu, już się robi!" Ale naco takiemu frajerowi castrol? Czy on się pozna, oceni? Niosa mu blaszankę oliwy po złoty dwadzieścia litr, leję: „Voilà! Gotowe panie dziedzicu!" I gość płaci 9 zł 80 gr bez zająknienia.

— No, a gdy gość był warszawiakiem?

— Też się nabierało, ale nie z taką przyjemnością.

A ile razy właściciel samochodu, zostawiał go w garażu, mówiąc: „Proszę wóz nasmarować, ja zajdę do „Złotej Kaczki", posiedzę tam godzinę"...

— Wtedy ja też siadałem — wspomina Antoś — wstawałem dopiero by wziąć forsę od faceta. Poważna była firma, rachunek się pisało na stemplowym blankiecie, no to i każdy miał zaufanie!!

Ponieważ jestem też z Warszawy, i do tego z Rozbratu (nie tak szykowna ulica jak Czerniakowska czy Solec — ale jednak Powiśle), więc Antoś zaszczyca mnie niekiedy wieczorami rozmową. Gdy sobie podpije, gdy w wielkiej ciemnej hali unosi się gwizdliwe chrapanie i smród spoconych nóg, Antoś odnajduje poomacku moją pryczę, przykuca, przyjmuje papierosa i szepce:

— Jak pan myśli, odbudują Warszawę?

— No pewnie, murarzy przecie nie zbraknie.

— Nowy Świat, Marszałkowską, to oczywiście, ale czy na Tamkę, Solec znajdą się pieniądze? Wiadomo, jakieś chamy będą forsą dysponować mogą nie zrozumieć, że to konieczne, najważniejsze...

— Eee, wytłumaczy się im kijem...

— Kiedy weź pan taki Kercelak. Spalony podobno do cna. Postawią nowe kramy, ale to będzie do niczego. Kradzione gołębie, rowery, stare ubrania sprzedawać w nowych budach — to nie wydapa, to już będzie nie to.

Tak, wszystko już będzie nie to, nie to...

— Jednak panie Antoś, do tej innej Warszawy pojedziemy — choć i przez morze.

— Koniecznie trzeba będzie morzem?

— Jakże inaczej, przecie siedzimy na wyspie!

— No to nawet okrętem. Ale jak pan myśli — może jaki most do tego czasu zbudują?

KOMUNIKAT

Ministerstwa Administracji Publicznej

Referat Sprawiedliwości Ministerstwa Administracji Publicznej w celu pogłębienia sprawozdawczości terenowej, komunikuje, że chętnie widzialby współpracę poszczególnych organizacji społecznych czy nawet indywidualnych osób, które by w interesie dobra publicznego dzieliły się z Referatem swymi spostrzeżeniami na temat dodatnich czy ujemnych zjawisk naszego życia publicznego.

Wiadomości kierować:

Warszawa, Rakowiecka 4, Referat Sprawozdawczości Ministerstwa Administracji Publicznej, pokój 229.

Film TYGODNIA

MARSZAŁEK ROLA-ŻYMIERSKI W KARTUZACH



Na Nowym Świecie w stolicy praca wre. Szereg dwupiętrowych domów stanie na jesieni

Fot. Film Polski



W Kartuzach bawił Marszałek Rola-Żymierski na uroczystości poświęcenia sztandaru Kartuskiego Pułku Piechoty. Harcerze kartuscy wykorzystali pobyt Marszałka, by zdobyć cenny autograf



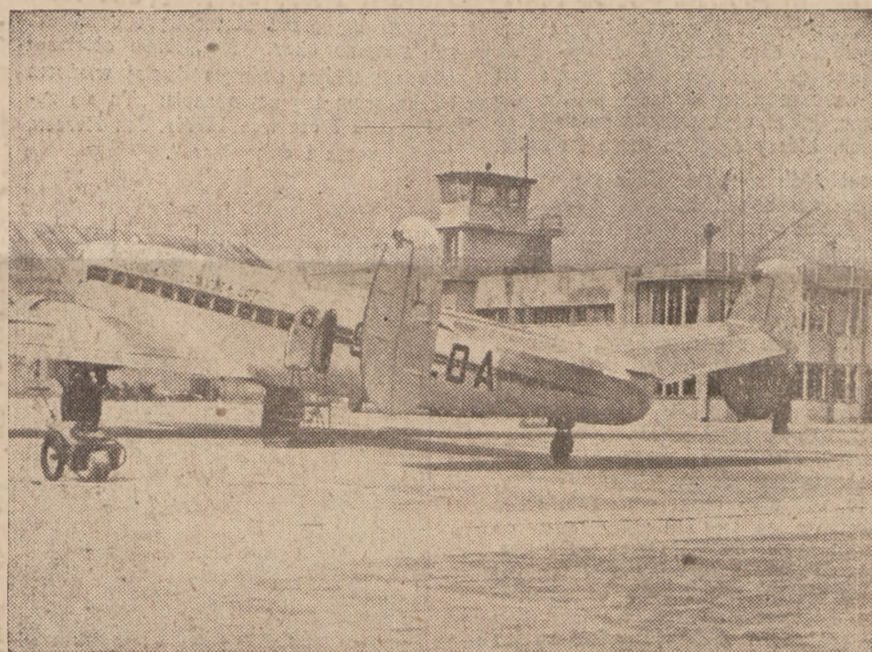
Nowy ambasador Stanów Zjednoczonych złożył swe listy uwierzytelniające Prezydentowi Bierutowi

Fot. Film Polski



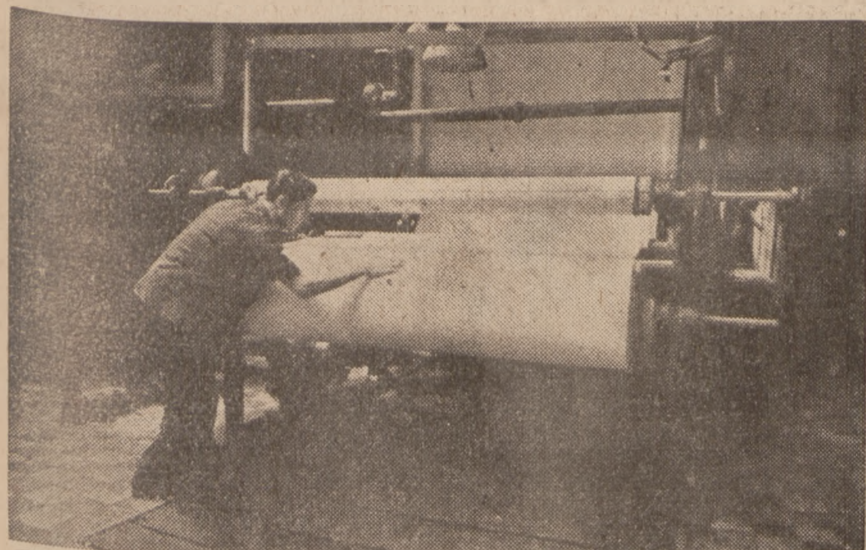
W Warszawie bawiła misja F.A.O., celem zbadania, jaka pomoc potrzebna jest Polsce. W skład misji wchodzili: prof. Milthers (Dania), prof. Harrison (Kanada), i prof. Morrison (Północna Irlandia)

Fot. Film Polski



Jeden z 10 zamówionych samolotów typu „Languedoc" już kursuje na Polskich Liniach Lotniczych

Fot. Film Polski



Młodzież beztrosko spędza czas na wakacjach, a już Mirkowska Fabryka Papieru przygotowuje wielkie ilości zeszytów szkolnych. Na zdjęciu: maszyna produkująca papier na zeszyty szkolne. — na olbrzymim wale zwija się setki metrów papieru

Fot. Film Polski



W Warszawie rozpoczął się proces grupy „Liceum". Na zdjęciu: oskarżona Barbara Sadowska w czasie zeznania

Fot. Film Polski



Jan Wiktor — Wrażenia z Czechosłowacji

(Dokończenie z Nr 28/52)

IV.

W miejscowej szkole została urządzona wystawa pamiątek po Janie Herbenie. Na tle sztandaru czeskosłowackiego umieszczono biust pisarza, wyrzeźbiony przez prof. Spaniela. Miłość zebrała wszystko, co dotyczyło życia i prac. Ktoś zachował i umieścił w muzeum kołyskę — „w niej kołchała matka małego Jasia" — wyrobioną z chłopska w 1857. Rodowód od 1687 r. Katalog ze szkoły niemieckiej, do której uczęszczał cztery lata. Listy do rodziny, przyjaciół, rękopisy, książeczka do modlenia i rozmyślań religijnych. Zgromadzono wszystkie jego dzieła od pierwszego, jakie się ukazały pod pseudonimem Jana Svobody. Fotografie przyjaciół, a szczególniej Masaryka z różnych okresów, z którym był najściślej związany. Ta wystawa daje przegląd całego życia jego prac dokonanych. Każdy przedmiot budzi wzruszenie, a zarazem podziw dla pietyzmu, jakim otacza naród pamiątki po twórcach, którzy są jego dumą i chwałą.

W osobnych salach mieściła się wystawa zabytków sztuki ludowej. Urządzono izbę i kuchnię według starych wzorów. Nie zapomniano o żadnym szczególe. Ściany pomalowane przez kobietę, której kunszt przechodzi w tej rodzinie z pokolenia na pokolenie. Obrazy na szkle. Półki bogato barwione z garnuszkami, dzbankami i talerzami, zwracającymi uwagę pięknymi malowaniami. Kwieciste skrzynie, szafy, kądziel, kołowrotki, ławy, łóżka zaścielone poduszkami bogato wyszywanymi. Pisanki o subtelnym ornamencie wydrapanym nożykiem. Stroje, chustki, czepce, A więc wszystko czym się mieszkaniec domu otacza, co jest mu potrzebne w codziennym życiu, co jest jego umileniem. A te przedmioty zgromadzone w wielkiej ilości to nie martwe zabytki na cmentarzu jakim jest muzeum, ale to żyjące twory pożyczone z domów gdzie są ich ozdobą i pożytkiem.

— Młodzi uczą się piękna i budzą w sobie zamiłowanie do stroju i do kultury swoich ojców — mówiła młoda mieszkanka Brumowic.

Po południu pociągnął pochód pod rodzinny dom Herbena. Co za bogactwo typów i strojów niesłychanie oryginalnych i ciekawych. Trudno oderwać oczy od tych szeregów okazujących coraz nowe piękno.. Zdaje się nieraz, że to ożywione portrety wytwornych dam z 16 wieku z książęcego dworu, zstąpiły ze ścian zamków i pałaców, aby wziąć udział w widowisku historycznym, w dzisiejszej uroczystości.

Prof. Kolaja wymienia nazwy miejscowości, skąd te gromady pochodzą. Zwraca uwagę na krój, na dobór kolorów.

— Dumni są ze swego stroju szczególnie z górskich stron. Są miejscowości gdzie jeszcze dzisiaj idzie do wywodu z dzieckiem 12 lub 14 par wedle pokrewieństwa, jednako ubranych. Kroczą powoli, dostojnie wedle dawnego zwyczaju. Żadna płocho się nie roześmieje. Mimo, że zachowują dawne zwyczaje, to jednakże gospodarstwa ich stoją na wysokim szczeblu kultury. Wyróżniają się też bogactwem pieśni i melodii. Odznacza się w tym szczególnie wieś Velka, powiat Hodonin. Martin Zeman, samouk, domorosły organista zanotował w jednej swej miejscowości 2.800 pieśni z nutami. .

Każda dziedzina ma inne typy strojów. ornamentów, kolorów. Z kołnierza koronkowego uszytego z mgły skrystalizowanej, wyłania się urodna twarz, jakby z kielicha białego kwiatu świeży pęk różowy rumieńcami, błękitny oczami, czarujący uśmiechami. Rękawy koszul karbowane w misterny sposób. Gorsety, czepce to osobny rozdział w tym poemacie.

Wykrochmalone spódnice jak dzwony szerokie, wzdęte, to dziedziczki krynolin podkasanych.

Na głowach chłopów kapelusze zawadiacko nałożone, ozdobione krasną wstążką i pękiem piór, tym herbem zuchwałej, zdobywczej młodości. Na kamizelach wzory tak znane na Podhalu, niemal takie same barwy, stylizowane serca, sosenki, kwiaty.

Stroje dziewcząt i chłopaków nie na codzienny użytek, ale od święta, uroczystości, z czcią przechowywane. Później te same gromady wyrosły z tłumu w Pradze i porwały oczy wszystkich jakby zjawisko okazane ludziom stęsknionym piękna

Pochód przeciągnął przez wieś i zatrzymał się przed parterowym domkiem, zakratowane okna. Na ścianie obielonej widnieje tablica owinięta dzisiaj wieńcem i sztandarem kryjącym napis: „Tu się narodził dnia 7 czerwca 1857 r. Jan Herben, czeski pisarz i dziennikarz".

Po przemówieniach przedstawicieli różnych stowarzyszeń oddających hołd zasługom, odbyło się widowisko regionalne. Mieszkańcy morawskich wsi przynieśli zabytki swej starej kultury, zachowane w pieśni, w tańcu, muzyce, obrzędzie. Wirowały uskrzydlone ciała w burzy rozmiotanych kolorów. Wybuchały pieśni podobne do przelatujących wichrów. Szalał taniec żywiołowy. Błonie nad jeziorem odmieniło się, czyniąc złudzenie, że to ziemia podrywa się z miejsca i wiruje, śpiewa.

Przeróżne misje zagraniczne wywalały gały i każdy po swojemu wyrażał zachwyt.

— Prakrasne — wołał po czesku z angielska jakiś wysoki oficer, utrwalając na kliszy spotykane stroje i typy.

— Wspaniale, wspaniale, francuzy ognı ste, jak rozpłomienione koguty piały bijąc oklaski.

Holendrzy, Jugosłowianie i jeszcze inni, że trudno spamiętać. Dla wielu widowisko było objawieniem, a przybysz z Polski oceniał je, porównywał i myślał, że wieś jego ojczysta przechowuje zabytki, jakby w skarbcu klejnoty bezcennej wartości i piękności, które należało uchronić od zniszczenia, wydobyć z ukrycia i okazać światu. Nuty, pieśni, taniec różnorodny, wyrosły z danej okolicy, będący streszczeniem duszy i charakteru mieszkańców, obrzędy nieraz niezrozumiałe dla współczesnych, a przecież głęboko wzruszające swą tajemniczą sakralną treścią.

Barwny wieniec dziewczyn i chłopców pijanych radością, wpadł na trybunę, jak orkan, zagarnął gości, sztywnych Anglików, rozswawolonych Jugosłowian, rozbrykanych Amerykan, głośnych Francuzów i porwał w wir wspólnego tańca. Po mieszały się narody, zniknęły dostojeństwa stopione w zachwyceniu weselnym. Przedstawiciele wielkich mocarstw złączyli się z ludem czeskim. Ogólna zabawa zakończyła uroczystości. Orkiestra grała. Wszyscy śpiewali piosenki ludowe pełne rozmachu, uciechy.

— Myśmy narodem wesołym — ktoś rozochocony wołał, przytupując aż drzazgi leciały. — Muzykanci chyba śpią — ktoś wykrzykiwał ku muzykantom, choć ci smyczkami jak piorunami władali. — Mogliby rzucić pod nogi skoczną nutę — a ino smyrlikują na strunach jakby mruczeli pod nosem.

Stąd zagarnął nas Prokupek „do piwnicy". — Tu kraj winogradu, więc w każdym gospodarstwie znajduje się owa piwnica, pełna wina. Gromada pisarzy opanowała dziedziniec. Gdzie kto mógł siadał. Na stertach gruzów, cegieł, na ławkach pod drzewem. Deski zastępowały stoły, kamienie krzesła. Niebo rozgwieżdżone było powałą gospody. Krążyły pełne kubki. Wesołość. Śpiew. Wybiegały z ciszy nocnej piosenki ludowe skoczne, melodyjne. A przewodził niezrównany Prokupek, świetny prozaik i motor wszelkich poczynań. Zabawa trwała do wschodu słońca.

— Velmi heske to bylo.

Pisarze tutaj zebrani to grono serdecznych przyjaciół, zespolonych wspólną miłością i radujących się wszystkim co dokonali.

— My w gromadzie żyjemy — zwierzał się pisarz. — Cieszymy się, gdy ktoś z nas wyda dobrą książkę. Czytelników dość, uznania też dość, byleby człowieka wychować a ten będzie i książkę kupował i uznaniem obdarzał. Zazdrość i zawiść nie pomnoży we mnie zdolności.

Dzień ten był wielkim świętem dla całej okolicy. Zjechali do Brumowic wszyscy tutaj urodzeni, nieraz z dalekich stron. Był to prawdziwy zlot rodzinny. Przed małymi domami stały wspaniałe limuzyny, świadcząc że w odwiedziny przybył syn, brat, zajmujący w narodzie wybitne stanowisko. Ministrowie przyjechai jak sąsiad do sąsiada, siedli pospólnie do tych samych stołów i spożywali razem z innymi to, czym wieś podzieliła się. A mieszkańcy gminy przygotowali wspaniałe przyjęcie dla setek gości.

Niczego nie poskąpili. Dobrowolnie, nocami, poza swymi zajęciami, wszyscy bez wyjątku budowali gościniec i skończyli go w przeddzień uroczystości. Domy przybrały się w odświętne szaty.

Ani razu nie widziałem wódki. Na zabawie, przy posiłkach tylko szklanka piwa i kubek wina były napojami. Pili tylko starsi. Młodzież trunków nie tknęła A przecież panował nastrój pełen beztroski. Wino rozweselało, słońcem upajało, toteż podpici objawiali swoją radość w śpiewie i śmiechu.

V.

Przypadek zdarzył, że miałem spędzić nocleg w domu miejscowego „sediaka". Gospodyni czekała.

— Raduję się, że was mogę gościć — wyrzekła po powitaniu. — Czytałam w „Nowinach", że w Polsce przyjmowali Polacy bardzo ochotnie spisowateli czeskich i przynosili wszystko co zapragnęli i masło i śmietanę i kiełbasy. Pomyślałam sobie, ach żeby do nas przyjechali, polscy spisowatele, tobyśmy też przyjmowali ich bardzo gorąco, bo za serce trzeba płacić sercem. Przyjechał choć jeden na nasze uroczystości i w naszym domu będziecie gościem nam drogim.

(Ciąg dalszy obok)





Chłopcy i dziewczęta w strojach ludowych

(Dokończenie ze str. 6-ej)

Pokój urządzony nowoczesnymi meblami, pomalowany łagodnym kolorem. Okna wielkie. Firanki zwisające od powały do podłogi, dostosowane do barwy ścian, a dywan na podłodze i kilimy do obicia tapczanu. Na stoliczku w krysztale pęk piwonii. Na biurku ceramika, przedstawiająca dziewczynę wiejską w stroju ludowym. Jednakże nie było ani jednego obrazka, co się rzucało w oczy. W bibliotece książki ładnie oprawne, a kilka porzuconych na stoliku jako ozdoba. Wnętrze zaciszne, wygodne i ze smakiem urządzone. To pokój gościnny.

Rano krzątanina koło gospodarskich spraw, ale bez krzyków, nagańań i złości przekleństw przeplatanych pacierzem. Panowała skrzętna, zbożna cisza, okraszona śmiechem lub melodią poważną, świąteczną.

Dom otwarty. Nie ma rozpanoszenia i krzykliwości bogatego sedlaka. Wnętrze czyste, miłe nie dla przechwalania się przed gośćmi, ale dla własnego użytku, wygody i zadowolenia.

Dwie córki, wczoraj brały udział w czasie uroczystości w strojach ludowych, a dzisiaj po rannych robotach przy gospodarstwie, ubrane zwyczajnie gotowały się do wyjścia na nabożeństwo. Gospodarz czytał „Kulturní politikę" — pismo poświęcone sprawom kulturalnym, a wydawane przez świetnego reformatora teatru Buriana..

Przybyli po mnie dwaj serdeczni przyjaciele, znani pisarze czescy, bardzo popularni w szerokich warstwach społeczeństwa a to dr Knap i Krzelina. Kiedy wymienili swoje nazwiska gospodarz spojrzał znad gazety i wyciągnął w milczeniu rękę do uścisku. Oczy dziewczyn rozjarzyły się w podziwie i obydwie jednogłośnie zawołały:

— Ojej! — ojej! — patrzyły uśmiechając się, nie wierząc wzrokowi swemu. — To wyście są?

— Nigdy nie myślałam, że do nas przyjdziecie. Bardzo się cieszymy z odwiedzin dla nas miłych i niespodziewanych.

Wszyscy powitali przybyłych, jak kogoś bliskiego, którego książki znają i kochają. Gospodyni zakrzątnęła się i w mgnieniu oka postawiła na stole talerz z kołaczami i flaszką czerwonego wina.

— To naszego wyrobu. Każdy we wsi ma winnicę. Bądźcie łaskawi sprawić nam radość.

Potoczyła się rozmowa polsko - czeska. Jedna z dziewczyn zawołała.

— Ja też rozumię po polsku.

— Jak każdy z nas. A jeżeli jednego lub dwóch słów nie pojmę, to mi serce dopowie — zażartował Knap.

Gospodarz nazywa się Ludwik Bula i jest właścicielem 14 hektarowego gospodarstwa, zresztą wzorowo urządzonego. Wiele czyta, rozmyśla ten dumacz wiejski. Wyznaje otwarcie, że jest komunistą, i zaraz dodaje:

— Nie należę do partii, nie jestem zorganizowanym komunistą, ale niejako duchowym, z wewnętrznego przekonania. Z urodzenia jestem ewangelikiem, ale dzisiaj już wystygłym i papierowym. Widzę wzór ukształtowania świata i ludzkości w nauce braci czeskich, w husytyzmie, głoszącym braterstwo i wspólnotę.

— Wizja piękna, tak samo nieziszczalna jak ewangelia.

— Ewangelia na całym świecie stała się towarem, w rękach przekupniów. Trzeba innych dróg szukać po których pójdzie człowiek do zupełnej wolności i do zbratania wszystkich. Nieszczęściem są walki wyznaniowe, bo one rozbijają jedność i niszczą osobowość każdego wolnego człowieka. Katolicy uważają ewangelików za odszczepieńców, które należy wytępić. Na froncie nikt nie pyta o przynależność polityczną, ani religijną — wszyscy jednako krew rozlewają. W czasie ostatniej okupacji wszyscy jednako cierpieli. Niemiec nie rozróżniał ewangelika od katolika, ale mówił — jesteś Czechem i Czechów tępił. Przed ostatnią wojną było, większe rozdarcie — czego wyrazem był postępowy „Sokół", katolicki „Orel". Dzisiaj nastąpiło zjednoczenie tak bardzo potrzebne. Jednakże ktoś psuje jedność i usiłuje rozedrzeć zgodę. Nie znoszę szkatułkowania politycznego, ani religijnego, nie lubię chodzić w jarzmie. Tak często słyszę pytanie: do jakiego obozu należysz, a tak rzadko słyszę — czyś porządny, światły człowiek, pożyteczny narodowi i ludzkości. Nie ze sztandarów budujemy świat, ale z serc odrodzonych narodów. Należy usunąć wszystko co ujarzmia wolnego człowieka, co niszczy jego osobowość. Organizacje kościelne i polityczne zamykają człowieka w szkatułkach. Musimy lepszy świat budować. Przeszłość co dobrego dała? Zawiodła nas zupełnie.

— Upraszczacie zagadnienie. Przecież widzimy postęp, kulturę.

— Ostatnia wojna w swej potworności okazała postęp i kulturę, człowieka wychowanego w ewangelii.

— Gdyby zwyciężyła ewangelia toby zapanowała zgoda, prawda, sprawiedliwość.

— Już dwa tysiące lat wojuje i nie może zwyciężyć zła, nadal panuje krzywda i niesprawiedliwość. Ewangelia okłamała ludzkość.

— To nie wina ewangelii, ale człowieka, który nie dorósł do jej wzniosłości.

— Kościoły używając ewangelii jako broni — głosząc miłość wzniecały tym większą nienawiść między narodami. Kościoły nie umiały wychować ludzkości. Rodzina jest głównym wychowawcą człowieka, kształtuje duszę i kładzie podwaliny pod nowe życie. Musi się miłość wprowadzić rewolucyjnie, aby człowieka przekształcić, a przez niego świat. Widzę to...

Jeszcze wpadliśmy na salę, gdzie odbywał się zjazd wszystkich pochodzących z Brumowic. Przybyli do miejsca rodzinnego z różnych stron Czech. Rzemieślnicy, rolnicy, adwokaci, lekarze, kupcy, ludzie zajmujący wybitne stanowiska i skromne. Spędzili wiele godzin na pogwarkach, wspomnieniach. Chór i muzyka uprzyjemniała przyjacielską biesiadę. Postanowili pracować nad rozwojem swej wsi, i poświęcić jej swe siły, aby była ozdobą kraju — a przykładem dla nich niech będzie działalność Jana Herbena. Uchwalili też powiększyć bibliotekę przez zakupienie jego wszystkich dzieł dotyczących jego działalności tak pisarskiej, jak i politycznej.

Podsunięto nam setki kartek do podpisu. Podawały je spracowane ręce starszych kobiet, dziewczyn i chłopaków.

— Na pamiątkę od gościa z Polski.

Z ciżby wyrosło pytanie skąd pochodzimy. — Z Krakowa... — z Krakowa? — uśmiech serdeczny rozjaśnił twarz. Mój ojciec służył w wojsku w czasie wojny światowej i dużo opowiadał o tym pięknym i starożytnym mieście. Wawel — Kościół Mariacki — hejnał.

Za chwilę mówił chłop:

— Polacy są najbardziej dotknięci wojną. Ufajmy że takie nieszczęście już się nigdy nie powtórzy. Jesteśmy pewni, że nasze współżycie będzie braterskie i wyjdzie na dobro obu narodów.

— Polacy są najbliżsi Czechom co do krwi i kultury, a co do polityki to byli chyba najdalsi — dorzuca inteligent. — Obca ręka jedność rozrywała i wzniecała nienawiść. Konieczności dziejową jest, byśmy żyli w zgodzie po wszystkie wieki.

Jeszcze ktoś inny objaśnia, że ewangelicy w przeważnej części należą do stronnictwa narodowych socjalistów, a katolicy do ludowego stronnictwa a tylko mały procent do komunistów.

— Każda organizacja na wsi jest odrębna, ale wszystkie dążą do jednego celu, a tym jest dobro narodu czeskiego. Od tego nikomu nie wolno się uchylać. Umarli i żyjący, przodkowie i potomkowie są wielką rodziną, więc rodziny nie wolno niszczyć ani nienawiści wzniecać. Pracowaliśmy w zgodzie i pojednaniu dla imienia Jana Herbena i wszyscy jednakowo bez różnicy przekonań politycznych i wyznaniowych składaliśmy hołd wielkiemu naszemu rodakowi — który jest chlubą Czech. Głęboko wryły się w naszą pamięć słowa ministra Stranskiego: — wojujemy o prawdę, brońmy swobody narodu i sumienia każdym czynem i każdą myślą, pomnażajmy bogactwa duchowe i materialne, bo one będą żywić przyszłe pokolenia.

Przez Brumowice przebiegał front. W czasie trzydniowych walk zostało zburzonych 40 domów. Dzisiaj nie znać śladów wojny. Pozostały w pamięci wspomnienia i opowieść. Wzniesione, przy pomocy państwa, budynki z cegły wyróżniają się wyglądem, są obszerniejsze, wygodniejsze i nowocześniejsze.

Wyszliśmy w pole. Na zboczach winnice prawie nie ogrodzone, drzewa owocowe. U przyjaciół czeskich budzi zdumienie nowa figura przydrożna.



Czeskie dzieci w strojach ludowych

— To niezwykłe. Morawianie są nadal pobożni. W Czechach, gdy krzyż, czy kapliczka ze starości niszczeją, to już nie ma rąk, któreby ufundowały inną. Wszędzie widać u nas upadek religijności. Zaczyna się pustynia...

Na miedzy spotkaliśmy chłopa zatroskanego.

— Tegoroczna posucha to nieszczęście. Pszenice przepadły, pasze wyschły, trzeba będzie bydło wyrżnąć. Mamy dwulatkę. Ludzkie pomysły są inne niż boże. Chyba Pan nie darzy błogosławieństwem dwulatkę i swoje plany przeprowadza.

Czas odjechać. Wpadamy po rzeczy. Żegna nas cała rodzina. Gospodarz ściska ręce Krzeliny i jakby zawstydzony wyznaje.

— Może was już nigdy nie spotkam, więc na ostatek chcę wam powiedzieć że bardzo mi się podoba wasza „Hubena leta" — a później zwrócił się do Knapa — a wasze „Vysoké jarní nebe" i „Pukly chrám".

— Bardzo smutna książka. Milsza wesoła — odrzekł autor.

— To wedle upodobania i usposobienia. Zawsze szukam książki, która wzbogaca i rozszerza moją duszę, co podnosi człowieka i czyni go lepszym. Odrodzić się musi ludzkość, jeżeli ma żyć a pisarze mogą wpływać na odrodzenie jej, jeżeli będą wytyczać drogi nowe i dawać człowiekowi to co jest piękne i szlachetne, a zwłaszcza miłość, co buduje wolność. Wreszcie wiążąc moje dłonie silnym uściskiem z powagą powiedział — Pozdrówcie Polskę. W czasie wojny płakaliśmy nad jej nieszczęsnym losem.

— Z Bohem — żegnały córki.

— W Czechach ludzie mają rozumową duszę, a na Morawach serdce. Pamiętajcie o tym — dorzuciła gospodyni.

Na dalszą wędrówkę wziąłem uśmiech z tego przyjaznego domu.

— Najpiękniej i najserdeczniej było w Brumowicach.

„A NOUS LA LIBERTÉ"

Czy pamiętamy film René Claira pod powyższym tytułem? Zachwycaliśmy się nim na kilka lat przed wojną. Przypomnijmy go sobie w ogólnych zarysach: film bowiem, na długo przed Sartrem, zawierał w zarodku ideę egzystencjalizmu*), nie formułując jej jeszcze, nie nadając jej nazwy, nie nalepiając na niej żadnej etykietki naukowej. René Clair wyczuł, że coś się odbywa w otaczającej go rzeczywistości, że to „coś" jeszcze nieuchwytne, zwiewne jeszcze a lotne, może się stać zapowiedzią doniosłych w przyszłości przemian w życiu jednostki ludzkiej i całego społeczeństwa; wyczuwszy to intuicją wielkiego artysty, postąpił jak przystało artyście: nie bawiąc się w żadną filozofię, nie stawiając żadnej tezy, daleki od wszelkiego doktrynerstwa, René Clair stworzył dzieło sztuki — przepiękny film, którego zmysłowa obrazowość silniej przemawiała do wyobraźni, niż to mogą uczynić najkunsztowniejsze teorie.

Fabuła filmu była taka. Dwaj serdeczni towarzysze, dwaj starzy kamraci — Emil i Ludwik — odsiadują więzienie. Jest to przymus tak dalece nieprzyjemny, że postanawiają wreszcie wyzwolić się z niego za pomocą ucieczki. Emil zostaje schwytany; Ludwik — ocalony — powraca do życia i do jego normalnych zatrudnień. Zaczyna pracować i zarabiać, powodzi mu się coraz lepiej, dorabia się majątku; staje się na koniec właścicielem olbrzymiej fabryki fonografów. Po niejakim czasie Emil opuszcza więzienie i wita świat tym samym uśmiechem marzyciela i włóczęgi, z jakim go żegnał przed laty, gdy zatrzasnęła się za nim brama więzienna. Na jego drodze staje miłoda dziewczyna. Pracuje ona w fabryce Ludwika i tym sposobem Emil dostaje się jako robotnik do fabryki swego dawnego kamrata. Następuje spotkanie starych druhów. Wielki fabrykant w pierwszej chwili odsuwa się gwałtownie od człowieka napiętnowanego przez prawo i wyroki ludzkie. Ale siła przyjaźni, pamięć przeszłości i wspólne umiłowanie swobody odnoszą zwycięstwo nad przesądami społecznymi i kruszą zapory majątkowe. Milionowy przemysłowiec porzuca swą fabrykę, swych dyrektorów i robotników, swoją metresę i majątek. Precz z tym wszystkim! To niepotrzebny ciężar. „Nic nie chcę o tym wiedzieć" (jakby powiedział Sartre). Nie chcę więdzieć o życiu bez odpoczynku i bez duszy, którego celowości i sensu nie dostrzegam. Poco takie życie istnieje? Poto tylko, by przynitować człowieka, nidy cząstkę mechaniczną, do pracy, która nie daje szczęścia ni radości? Czym różni się nowoczesna fabryka od więzienia? Tym tylko, że mury jej wyższe są jeszcze od więziennych. Czym różnią się robotnicy, zmechanizowani do absurdu za kratami fabryki, od „prawdziwych" więźniów? Niczym. Ruszają się bezmyślnie jak nakręcone sprężynki, uzupełniające jedynie maszynę — molocha. Precz z tym wszystkim! A nous la liberté! Jest jeszcze łąka zielona, pełna kwiatów; po niebie biegną zmienne obłoki; w gajach śpiewają swym nieuświadomionym istnieniem ptaki, a przed spragnionym spojrzeniem roztacza się zamiast murów i kominów, dalekie przestrzenie. I film zamyka się obrazem dwóch starych kamratów, dwóch marzycielskich włóczęgów, przed którymi odsłania się szeroki wiejski gościniec; wzdłuż niego szumią wielkie drzewa, a nad nim wznosi się wysokie niebo: oto życie prawdziwe, oto swoboda, oto sens istnienia, oto — rzec można — „egzystencjalizm".

Nie znając źródłowo egzystencjalizmu Sartre'a, tak go sobie rozmaicie kojarzą: i ze sceptycyzmem, płodnym w tolerancję, i z mądrym krytycyzmem Montaigne'a; i przypomina się poezja takich włóczęgów, jak Verlaine'a i Rimbauda, i podobny tej poezji film René Claira... i przychodzi na pamięć postać Colas Breugnona (akurat wznowiono tę książkę) który wsparłszy się pod boki, mówi: — „Powiem wam słowo. Dobra to rzecz król, ale nie masz lepszego nade mnie króla. Bądźmy wolni! Dzierżmy silnie ludzkie prawa nasze". I dalej gotowa się wyłonić z przeszłości figura ks. Coignarda — arcydzieło Anatola France'a... I dalej jeszcze...

Egzystencjalizm bowiem wydaje się poglądem na świat, czy też stosunkiem do świata bardzo francuskim, typowo gallickim, zdrowo łacińskim. Aby zrozumieć istotę duchową Francuza, warto było oglądać niegdyś jeszcze jeden film — na wskroś francuski, mianowicie „Pola Elizejskie" Sachy Gutry, wyświetlany i u nas z początkiem roku 1939. Symboliczną rolę w filmie odgrywał małeński synek nauczyciela historii, wykładającego swym uczniom dzieje Pól Elizejskich. Dziwne zarządzenia przeznaczeń, losów i przypadków oraz dziwne, lecz jakie piękne i mądre igraszki miłości sprawiły, że w chłopczyku tym płynęła krew Ludwika XV czyli starożytnych królów arystokratycznej Francji, krew Napoleona I, czyli największego jej geniusza zdobywcy, krew Marata czyli rewolucji, i krew pończoszarki, czyli ludu. Chłopczyk był symbolem — nie: ściślej mówiąc, był syntezą Francji; był Francją samą, której tajemnica psychologiczna polega na tym, że w ciągu jej długiej, bogatej i owocnej historii wiele wrogich sobie na pozór i sprzecznych pierwiastków zespoliło się w narodzie francuskim w sposób doskonale harmonijny. Dzięki tej harmonii ducha Francuzi posiedli pewną ważną zdolność, o której jeden z filozofów germańskich tak się z podziwem wyraża: „żaden naród nie okazał się tak zręczny do gruntownego porządkowania nieładu przeszłości i do wlączania życia w teraźniejszość, jak Francuzi. Oni odpowiadają zawsze najlepiej na wszystkie wahania czasów i stają się najwyraźniejszym wskaźnikiem zmiennych prądów i nastrojów kulturalnego życia, tworząc to, co się w rzeczach zewnętrznych nazywa modą, lecz w sprawach głębokich nosi nazwę wielkiej sztuki życia, uszlachetniającej istnienie". Nie ulega wątpliwości, że i egzystencjalizm jest przejawem francuskiej sztuki życia — niewiędnącego nigdy „ésprit français".

Jerzy Wyszomirski

*) Por. „Ależ ci Francuzi" i „Stare wino w nowym szkle" w Nr 27-51 i 28-52 „Tygodnia".

Tadeusz Schiele

JAK LOTNICY POLSCY PODBIJALI SERCA ANGIELEK

Bardzo to śmieszne były czasy. Teraz gdy z perspektywy zaledwie paru lat wspominam owe chwile, wydają mi się dziwnie odległymi i w całej swej groteskowości naiwnie komicznymi. Stare dzieje...

Pamiętam jak jeszcze zebrani przy ostatniej butelce francuskiego wina, paląc ostatnie mocne „gitany" z dolnego pokładu okrętu przypatrywaliśmy się zbliżającym się brzegom Wyspy.

„Nie moi kochani — zapewniał nas Władek, błyskotliwy bywalec wszystkich kabaretów miasta Lyon — teraz to nie będzie tak łatwo. Zimne córy Albionu zamiast filuternego „oh un aviateur Polonais!" — przywitają nas chłodno „and who are you?".

Długo jeszcze dyskutowaliśmy na ten temat. Czarne horoskopy uciążliwego życia kawalerskiego zamknięte w zdaniu, że „tam albo ślub i to w dodatku anglikański albo nic", wywołały dwojakie nastroje u słuchaczy. Jedni już z góry godzili się z surowym losem. ślepo wierząc w tych sprawach Wladkowi, inni natomiast odmiennego byli zdania. „E... tam znowu... zimne czy nie zimne, nie taki diabeł czarny jakim go go malują" — i coś tam jeszcze dodawali a propos „czarny", że w nocy to każda krowa itd.

„Fakt pozostaje faktem" — ciągnął Władek — że przez pewien okres czasu, jak to się mówi „przygadać sobie dziewczynkę" nie będzie rzeczą łatwą z tej prostej przyczyny, że nikt z nas po angielsku w ząb nie rozumie". Ano zobaczymy. Na tym dyskusja stanęła. Większe mieliśmy kłopoty na głowie. I co dalej szary człowieku? Zimą roku 1940 pierwszy transport lotników polskich przybył do Anglii.

*

Po paru dniach pobytu na starym lotnisku Eastchurch, któryś z kolegów już zawarł znajomość z kantyniarką. „Szczerbiński jestem!" — rzekł szarmancko się kłaniając, przy czym głośny stuk nowo wyfasowanych butów nie mniej speszył dziewczynę od pełnego wdzięku ruchu ucałowania jej dłoni. Pokrywając zażenowanie próbowała powtórzyć jego nazwisko: „Sh... sh... tio... sctior.... bynky... Impossible!" Jak spod ziemi zjawił się Władek. „Madame" — rzekł uprzejmie — „proszę powiedz „Eastchurch" ale bez dwóch pierwszych liter". Dziewczę po chwili namysłu spełniło prośbę najwyraźniej w świecie wymawiając: szczercz. „No proszę" — triumfował Władek. „Do kobiet trzeba mieć — tu zrobił szereg nieokreślonych ruchów dłonią — pewne podejście. Nic na siłę". Nie wiedział jeszcze wtedy jak słuszną okaże się właśnie metoda łagodnej perswazji, już w niedalekiej przyszłości...

*

Swej pierwszej przepustki na miasto Władek chyba nie zapomni do końca życia. W knajpie było jeszcze jako tako. Piwo ciepłe ale tanie. Anglicy życzliwi i chętni do rozmowy na temat lotnictwa i wojny. Natomiast pierwsze Angielki spotkane w jednym z wielu dancingów w nadbrzeżnym miasteczku Marget (tam gdzie niedawno odbyła się konferencja Partii Pracy) zadziwiły nas swymi idiotycznymi pytaniami.

Naszywka „Poland" na ramieniu, własnym przemysłem poszerzane spodnie, zawadiacko na bakier noszona furażerka oraz fatalny akcent cudzoziemski, najwidoczniej wielce egzotyczne musiał wywrzeć na nich wrażenie. Na brak powodzenia nikt nie mógł narzekać. Tylko te pytania...

„Czy u was jest stale śnieg?" — Władek objaśniał łamaną angielszczyzną, że przecież Londyn i Warszawa leżą niemal na tej samej wysokości. Starczy na mapę popatrzeć. A niedźwiedzie i wilki to istotnie są ale w Zoo.

Odprowadzając do domu jakąś dziewczynę, Władek tak bardzo rozgniewał się jej zapytaniem czy w Polsce też jedzą takie rzeczy jak u nich albo w Ameryce czy Francji, że nie tracąc ani na chwilę spokoju zapewnił ją, że żywimy się wyłącznie trawą i na potwierdzenie tego, zerwał parę pęków trawy zjadając ją, po czym bez słowa skłonił się i odszedł. Kochany Władzio! Był w parę lat później dowódcą jednego z dywizjonów myśliwskich.

Po upływie kilku miesięcy, lotnicy nasi, uzbrojeni w jako taką znajomość podstawowych „zagajeń sprawy" w języku angielskim, mieli już zdecydowaną reputację notorycznych uwodzicieli serc niewieścich. Gdy fama polskich pilotów myśliwskich dotarła już do Blackpoolu zdarzył się następujący wypadek: Jako, że tylko nielicznym udało się dostać w tym czasie do jednostek bojowych, większość lotników przebywała w mieście Blackpool przechodząc przeszkolenie teoretyczne. Tuż obok miasta było lotnisko, na którym cztery samoloty typu „Defiant" pełniło służbę nocną z tym, że piloci, a raczej załogi mogły opuścić lotnisko zostawiając jedynie dokładny adres, gdzie się udają, by mogli być szybko ściągnięci do służby. Był to rodzaj pogotowia, z co najmniej jednogodzinnym ostrzeżeniem przed ewentualnym przejściem do stanu natychmiastowej gotowości. Wśród załóg pełniących tę służbę było trzech Polaków. No i tak się kiedyś złożyło, że w wielkiej przepełnionej ludźmi sali tanecznej „Wintergarden" jeden z oficerów po przerwaniu gry orkiestrze, zapowiedział, by znajdujące się w tym lokalu załogi operacyjne jak najszybciej zgłosiły się na lotnisko z polecenia Dowództwa. Ku zdumieniu nielicznie wtajemniczonych, około trzydziestu Polaków szybko i tęsknie pożegnało się ze swymi partnerkami, kierując się dziarskim krokiem ku wyjściu.

Taki epizodzik w pełnym odpowiedzialności i niebezpieczeństwa życiu lotników — bardzo dodatnio mógł wpłynąć na dalsze koleje losów flirtu rozpoczętego owego wieczoru na dancingu..

*

W 1940 i 1941 roku Polacy za zasadę przyjęli, że we wszelkich poczynaniach, słownik jest rzeczą nieodzowną zaś istota uwodzenia płochych niewiast jest niczym innym jak sztuką, łączącą zarówno zagadnienia o ściśle matematycznym charakterze, jak i śliskości i perfidii dyplomatyki. Stosowano dwie podstawowe metody, szczególnie aktualne w przelotnych miłostkach, nie tyle w każdym porcie, co zato w każdym miasteczku niemal w pobliżu różnych lotnisk. Pierwszą było podbicie serca „na wesoło" — drugą na „smutniaka". Używając tej „na wesoło" — drogą łagodnej perswazji tłumaczyło się niezdecydowanej niewieście z żartobliwym uśmiechem zrezygnowania, że „mój Boże, raz się żyje, a życie takie krótkie, kto wie, może już jutro nie będzie mnie, wiesz jak to u nas lotników bywa, dziś on, jutro ja... i nigdy nie zaznam w swym młodym życiu ani chwili szczęścia od najpiękniejszej kobiety na tej Wyspie. Wspomnisz me słowa, lecz będzie już za pózno.., ha, trudno, jak nie to nie, honor mi nie pozwala nalegać (pauza), ha... ha... (cynicznie). Śmierć będzie moją kochanką (szczypta poezji nie zaszkodzi) ona mnie przytuli hen w przestworzach wśród wichrów i chmur... żegnaj mi...

...wiesz jak to u nas lotników bywa, dziś on, jutro ja...

„Zaczekaj..." — szeptało wzruszone dziewczę...

Druga metoda była identyczna tylko, że bez cienia uśmiechu, raczej na ponuro np. przy księżycu w parku. Pamiętać przy tym wszystkim należało, że mężczyzna wydaje się kobiecie najprzystojniejszym między szóstym a ósmym kieliszkiem „whisky and soda".

*

Nie sposób opisać choćby w przybliżeniu nawet, wiele innych, co przemyślniejszych sposobów. Chcąc być sprawiedliwym muszę przyznać, że bynajmniej nie zawsze sprawa była łatwa. Wielokrotnie wprost beznadziejny był trud naszych amantów.

Kiedyś czytałem cyniczny artykuł jednej Angielki na temat kochliwych zapędów obcokrajowców i metod powszechnie używanych przez nich w okresie wojny. Dałem do przeczytania Władkowi. „Wiesz Władek, dopiero teraz widzę, że one wówczas wariatów z nas strugały". Bardzo możliwe.

KRONIKA KULTURALNA

CZYNNIKI WOJSKOWE — z inicjatywy „Polski Zbrojnej" — rozpisały przed kilku tygodniami konkurs na piosenkę żołnierską, wychodząc z założenia, że „nowe czasy żądają nowej pieśni", obecną zaś naszą piosenkę żołnierską cechuje szablonowość, która ją upodabnia i w melodii i w treści do ckliwych, patefonowych tang. Nowy tygodnik ilustrowany „Kraj", który się nadto pospieszył z wydaniem pierwszego numeru (co nagle, to po diable — ale i to prawda, że: pierwsze koty za płoty), publikuje właśnie jedną z takich nowych piosenek konkursowych, noszącą tytuł „Czekaj na Pradze!" Nie możemy się powstrzymać, żeby nie powtórzyć za „Krajem" początkowych zwrotek tej wzorowej zapewne piosenki: „Znowu wiosenne zakwitły jaśminy jak dawniej w parku, nad rzeką; rozkołysany łan Ukrainy szumi, że już niedaleko. Myślisz kochana: zginął — nie zginął... płatki obrywasz stokrotek. Widzisz te łuny nad Ukrainą? To my idziemy spowrotem.. Czekaj na Pradze — ja wracam od wschodu — tam na przystanku, gdzie park, gdzie po raz pierwszy, pamiętasz, za młodu dotknąłem wargami twych warg"... Nucąc sentymentalnie tę piosenkę, której każda zwrotka kończy się refrenem o dotknięciu wargami warg, myślimy, że nowe czasy, niestety, hołdują również szablonom.

PISMA KATOLICKIE podają całkowity spis prasy katolickiej, wychodzącej w Polsce. Ogółem ukazuje się u nas 29 periodyków katolickich, których poziom i zakres zainteresowań jest, oczywista, bardzo rozmaity, zależnie od potrzeb i umysłowości odbiorców, dla których są przeznaczone. Mamy więc miesięczniki tak poważne, naukowe, czy też specjalne, jak „Ateneum Kapłańskie" albo „Znak"; mamy doskonale redagowane i rzeczowe tygodniki jak „Tygodnik Powszechny"; mamy też „Rycerza Niepokalanej". Ciekawe jest, że na liście prasy katolickiej nie znalazł się tygodnik „Dziś i jutro", który podkreśla przecie swój katolicyzm społeczny. Mimowoli przypomina się świadectwo, jakie niedawno wydały temu pismu londyńskie „Wiadomości" M. Grydzewskiego i Z. Nowakowskiego: jest to — orzekły — pismo lisów, które niezadługo znajdą się u żłobu".

JULIANA TUWIMA „Wybór poezji" z lat 1914 — 1939 — wyszedł nakładem „Czytelnika". Jest to wybór z tych wszystkich zbiorków poety, jakie, poczynając od „Czyhania na Boga" (r. 1918), ukazały się przed wojną. Należy przypuszczać, że wyboru dokonał sam poeta. Ale czym się kierował, jaką zasadą? Nie umiemy odpowiedzieć na to pytanie. Stwierdzamy tylko jedno: Tuwim w wyborze, to wcale nie ten Tuwim, jaki był nam bliski i znany przed wojną. Wszystkie wiersze na wskroś tuwimowskie, tak tuwimowskie, że wystarczało przytoczyć z nich jedno zdanie, by każdy bez namysłu powiedział: To Tuwim — wszystkie te wiersze zniknęły w „Wyborze". Gdzież są np. niezapomniane „Słopiewnie"? Gdzie „Na noże"? „Barwistan"? „Wybuduję Tobie dom zielony"? Gdzie posępne a wspaniałe „Epos": „Hej, ojcze byku, słyszę, słyszę — w Zodjaku gwiezdne rżą zwierzęta!" Gdzie „Piotr Płaksin"? Albo owe „motyle — trupie główki czy „Nad Cezarem" albo też „Acheronta movebo? Słowem, nie ma żywiołu i tego, co stanowiło istotę poetyckości Tuwima tj. jego elan vital. Przeważają wiersze „filozoficzne", a wiadomo, że „filozofia" niestety nie udawała się Tuwimowi, jak Słonimskiemu; i dużo jest wierszy społeczno - moralizatorskich, jak gdyby pouczających, jak gdyby kaznodziejskich. Inaczej one wyglądały pomieszano burzliwie z witalizmem w dawnych zbiorkach; inaczej dziś, z witalizmu wyłuskane i ułożone w bukiet... szeleszczących nieśmiertelników.

St. Łatka

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA ŚLĄSKU

Rozmowa z delegatem Zw. Gosp. „Społem" na Okręg Śląski, dyr. Chromikiem

Śląsk jest sercem gospodarczym kraju. To nie metafora, ani przesadne zdobnictwo stylistyczne. Jest to prawda tak rzeczowa i ścisła jak tabliczka mnożenia.

Śląsk ze swoją stolicą Katowicami, pomnaża nasze dobro społeczne.

Jak Indie w koronie imperium brytyjskiego, tak Śląsk najwspanialszym lśni blaskiem w kolii brylantowej Rzeczypospolitej Polskiej.

Bez Śląska byliśmy jako państwo, jako naród, jako organizm gospodarczy — niczym.

Nie masz Śląska bez Polski i bez Śląska Polski — chciałoby się strawestować patriotyczną sentencję kaszubską.

Ale wydaje mi się, że powtarzam stare prawdy, że nie odkrywam Śląska, jak Kolumb — Ameryki.

Tę prawdę przypomina się tylko i maluje tło gospodarcze, ażeby na nim uwypuklić także rolę sektora spółdzielczego.

Delegat Związku Gospodarczego „Społem" na woj. śląskie dyr. Chromik Stanisław uprzejmie odpowiada na wstępne moje pytanie.

— Droga przebyta była twarda, kamienna, najeżona trudnościami, jak w ogóle wszystko zresztą, co w Polsce powstało i budziło się do życia po tej okropnej wojnie z ruin, z niczego, prawie z próżni.

Krótko mówiąc, drogę przebytą dziś, z perspektywy czasu możnaby potraktować pod kątem humoru i rozpaczy.

W pierwszym okresie naszych wysiłków w biurze okręgu było kilka stołów. Na jeden stół wypadało co najmniej trzech pracowników, z tego dwóch siedziało, a trzeci czekał ażeby usiąść, gdy który z sąsiadów pójdzie do telefonu. Brak było najprymitywniejszych urządzeń.

— Dziś widzę kolosalną zmianę — wtrąciłem, podziwiając przestronną, pełną światła i zieleni willę delegatury, mieszczącą się przy ulicy Sokolskiej.

Zdołaliśmy się już urządzić nie tylko u siebie, w biurze ale zorganizować pracę spółdzielczą tak, że należymy do czołowych komórek w wielkim społemowskim organiźmie.

Najlepszą naszą legitymacją są osiągnięte obroty, które wynoszą w roku ub. ok. 14,5 miliarda zł co stanowi 1/5 społemowskich obrotów w kraju.

Stosunek obrotowy na 1 mieszkańca wynosi 5.170 zł. Jest to najwyższy obrót w Polsce, a więc zajmujemy przodującą pozycję. Za nami idą Gdynia i Poznań z obrotami ok. 4.130 zł.

Nie trzeba zapominać, że jesteśmy topograficznie najmniejszym województwem przy największej gęstości zaludnienia.

Aeż to jest po prostu zagęszczenie spółdzielcze.

— Nie, to u nas nazywa się prężnością pracy. Liczba spółdzielni z każdym miesiącem wzrasta.

— Jaki, panie dyrektorze, jest tu, że tak powiem klimat spółdzielczy — chodzi mi mianowicie, o ten moment rozwoju śląskiej spółdzielczości, który odbywa się oddolnie, a więc o samorząd.

Zgodnie z wytycznymi naszych władz naczelnych 20 kwietnia rozpoczęliśmy akcję wyborczą do samorządu spółdzielczego. Zjazdy oddziałowe delegatów spółdzielni przebiegają w atmosferze głębokiego zrozumienia ogólno-państwowych trudności gospodarczych i głębokiej troski o wypełnienie zadań, jakie spoczywają na spółdzielczości, w sposób taki, jak tego wymaga interes państwa i społeczeństwa.

Spółdzielczość na terenie Śląska, zdobyła już prawa obywatelskie i nie do pomyślenia jest, ażeby na tym terenie spółdzielczość mobla być zastąpiona przez jakikolwiek inny aparat dystrybucyjny.

Mimo, tu i tam może błędów, usterek czy niedociągnięć, z pełną odpowiedzialnością twierdzimy, że zadanie powierzone przez państwo sektorowi spółdzielczemu wykonujemy na celująco.

wywiad przeprowadził
Leon Sobociński

Jak pracują Oddziały „Społem"

Okręgowy Oddział Mleczarsko-Jajczarski w Kielcach

Jeszcze w r. 1936 powstał w Kielcach Oddział Skupu Jaj. Placówka ta pracowała podówczas wyłącznie dla celów eksportowych. Z dniem 1 marca 1945 roku dawny oddział Skupu przekształcony został na Okręgowy Oddział Mleczarsko-Jajczarski, Kielce, ul. Bandurskiego 8.

Oddział prowadzi we własnej administracji: mleczarnię poniemiecką w Kielcach, fermę drobiową „Piaski", gdzie istnieje stacja wylęgowa drobiu i tuczarnia gęsi.

Dział jajczarski Oddziału poszczycić się może jedyną tego rodzaju, nowoczesną stacją konserwowania jaj w wodzie wapiennej. Stacja dysponuje 48-miu betonowymi basenami o pojemności 5.000.000 jaj.

Działalność Oddziału w roku ubiegłym da się scharakteryzować następującymi cyframi. Skupiono 9.600.000 jaj, a zakonserwowano — 3.635.000 sztuk. Pewną ilość jaj konserwowych wywieziono do Szwajcarii.

Tuczarnia drobiu wytuczyła w tym samym czasie 10.000 gęsi, które częściowo nabył Fundusz Aprowizacyjny dla górników na Śląsku, a częściowo wyeksportowane zostały do Szwajcarii.

Stacja wylęgowa drobiu wyposażona w jeden tylko aparat, wychodowała 9.600 kurcząt Zielononóżek, które Izba Rolnicza rozprowadziła dla celów hodowli wśród rolników na terenach szczególnie przez wojnę zniszczonych.

W roku bieżącym działalność Oddziału zostanie wydatnie poszerzona. Skup jaj obejmie 20 milionów sztuk, tuczarnia wytuczy 20.000 gęsi, a stacja wylęgowa drobiu, gdzie zainstalowano 2 dalsze aparaty da 30.000 kurcząt.

Kierownictwo Oddziału od grudnia 1943 roku spoczywa w ręku dyr. Tadeusza Redlich-Michalskiego, który na niwie spółdzielczości pracuje od lat dwudziestu. (a)

Okręgowa Spółdzielnia Spożywców „Zgoda" w Płocku

Okręgowa Spółdzielnia Spożywców „Zgoda" w Płocku, ul. Sienkiewicza 32 jest bezwątpienia najstarszą spółdzielnią w Polsce, istnieje bowiem od 1870 roku.

Obecnie Spółdzielnia zrzesza 2.300 członków i zatrudnia 96 pracowników. Prowadzi skład opałowy, piekarnię mechaniczną o zdolności wypiekowej 4.500 kg chleba na dobę i 18 sklepów, a w tym 15 kolonialno-spożywczych, 1 bławatny, 1 żelazny i 1 z pieczywem. Spółdzielnia posiada własny tabor konny i samochodowy.

Obroty Spółdzielni w 1946 roku przyniosły kwotę 170 milionów złotych. W roku bieżącym dać mają, zgodnie z preliminarzem budżetowym, 200 milionów złotych.

Spółdzielnia aprowiduje miasto, powiat i pracowników kolejowych. W najbliższej przyszłości Spółdzielnia zamierza uruchomić wytwórnię wód gazowych, rozlewnię piwa, rozlewnię octu i własny warsztat masarski oraz otworzyć w mieście i okolicy 10 nowych sklepów, a w tym 1 masarski.

Spółdzielnia posiada 2 czynszowe kamienice w Płocku. Jej fundusz udziałowy wynosi 700.000 złotych, a fundusz społeczny również 700.000 złotych.

Na czele Spółdzielni stoi trzyosobowy Zarząd w składzie ob. Stefan Pudlik, 23 lata pracy w spółdzielczości, Henryk Ławczyński, 25 lat pracy i Władysław Kupięcki, 40 lat pracy. Kierownikiem Spółdzielni jest Dyr. Stefan Pudlik. (a)

SPÓŁDZIELNIA Rolniczo-Handlowa w Skierniewicach

Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Skierniewicach, ul. Kościelna 1, powstała w lipcu 1939 r. działalnością obejmuje cały powiat, zrzeszając 4.150 członków zatrudniając 67 pracowników. Spółdzielnia prowadzi filię w Kowiesad, 1 sklep, 3 magazyny, czyszczalnę zbóż i elewator zbożowy w Skierniewicach. Ponadto Spółdzielnia prowadzi warsztaty mechaniczne, zatrudniając 45 pracowników i produkujące maszyny rolnicze oraz dokonuje napraw maszyn i narzędzi rolniczych. Spółdzielnia sprzedaje rolnikom: maszyny i narzędzia rolnicze, nasiona, artykuły gospodarstwa wiejskiego, materiały budowlane, opałowe i smary oraz skupuje ziemiopłody i produkty gospodarki hodowlanej. Obroty Spółdzielni wynosiły w 1946 r. 90 milionów zł. na rok bieżący preliminowano je w wysokości 150 milionów zł.

Kierownikami Spółdzielni są: pp. Izydor Dziołak i Stanisław Jankowski. (a)

Oddział powiatowy w Kielcach

Oddział Powiatowy „Społem" w Kielcach, ul. Młynarska 95 należy do najstarszych placówek tej najpoważniejszej dziś w Polsce instytucji gospodarczej jaką jest Związek Gospodarczy Spółdzielni R.P. „Społem", istnieje bowiem od 1917 roku.

W chwili obecnej Oddział zatrudnia 65 pracowników i prowadzi: hurtownię wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, hurtownię soli oraz hurtownię wyrobów tytoniowych, zaopatrując w towary pierwszej potrzeby 100 spółdzielni różnego typu, szereg instytucji społecznych oraz aprowidując poszczególne w powiecie przemysły.

Działalność handlową Oddziału najlepiej ilustrują cyfry. W 1946 roku załadowano i wyładowano różnych towarów 2.007 wagonów. W tym samym roku rozprowadzono towarów: mąki — 7.300.000 kg, soli — 1.800.000 kg, węgla i koksu — 3.000.000 kg, cukru — 1.210.000 kg oraz wyrobów tytoniowych ca 6.5000.000 zł. Obroty Oddziału w roku ubiegłym wynosiły 501.700.000 złotych.

Przy tak bogatej swojej działalności Oddział pracuje w wyjątkowo trudnych warunkach magazynowych. Aby warunki te poprawić, należałoby w możliwie najkrótszym czasie wybudować nowe pomieszczenie magazynowe na ca 6.000 ton.

Kierownictwo Oddziału od maja roku ubiegłego spoczywa w ręku dyr. Tomasza Szymańskiego, który od lat 35-ciu pracuje na niwie spółdzielczości. Bogate jego doświadczenie gwarantuje Oddziałowi nie tylko sprostanie dzisiejszym jego zadaniom, ale i wróży dalszy jego pomyślny rozwój. (a)

Spółdzielczość na Ogólnokrajowej Wystawie Powojennej Książki Polskiej

Pojęcie „oświatą" łączy się zawsze z pojęciem „książka". Książka jest narzędziem oświaty, jest jednocześnie środkiem, służącym do jej zdobycia. Bez słowa drukowanego, bez książki nie ma oświaty w nowoczesnym jej rozumieniu, oświaty, która na stopniach niższych i wyższych obejmuje różne warstwy narodów, całe społeczeństwa. Dlatego Niemcy, chcąc zniszczyć oświatę w Polsce, tak zaciekle niszczyli książkę polską.

Tegoroczne „święto oświaty" łączy się z otwarciem zorganizowanej przez Związek Księgarzy Polskich (koło Łódzkie) Ogólnokrajowej Wystawy Powojennej Książki Polskiej.

Na wystawie tej zobrazowano dorobek wydawniczy instytucji państwowych, prywatnych i spółdzielczych. Imponujące są osiągnięcia wielkich spółdzielni wydawniczych jak „Czytelnik", „Książka", „Wiedza". „Społem" prezentuje 31 broszur, poświęconych zagadnieniom spółdzielczości, propagowaniu jej idei. Ogółem wystawa objęła około 2.000 pozycji, zaczynając od naukowych, a kończąc na beletrystyce, licznych książkach dla dzieci i młodzieży. Osobne działy poświęcono wydawnictwom o ziemiach zachodnich i opisującym martyrologię polską w czasie okupacji.

Dobrze się stało, że Zw. Ks. Pol. pomyślał o zorganizowaniu tej wystawy. Pozwoliło to obok wykresów, ilustrujących zniszczenie książki przez okupanta, ukazać społeczeństwu odbudowę ruchu wydawniczego i książki. Pozwoliło zobrazować rolę, jaką grają w tym ruchu spółdzielnie wydawnicze. Spółdzielczość także w tę dziedzinę wniosła twórczy rozmach.

Nowe książki

Zygmunt Szweykowski — Twórczość Bolesława Prusa — (2 tomy). Wydawnictwo Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej w Poznaniu. Omówienie książki prof. Szweykowskiego podamy w jednym z najbliższych numerów „Tygodnia".

Balzac — Ojciec Goriot. — Powieść w przekładzie Tadeusza Boya - Żeleńskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

C. F. Ramuz — Pastwisko na Derborence. — Przekład Stefana Flukowskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

B. S. Haldane — Mój przyjaciel Pan Liki. — Przekład Jana Stefczyka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Aleksander Puszkin — Dramaty. — Przekład Seweryna Pollaka. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

Marcel Prenant — Darwin. — Przekład Adama Czartkowskiego. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

K. W. Ostrowitianow — „Zarys ekonomiki przedkapitalistycznych formacji. — Spółdzielnia Wydawnicza „Książka".

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. J. Zaruba

W naszych sklepach



— Póki życia nie wejdę już do żadnej drogerii! Chcieli, żebym za flaszeczkę pachnidla do smarowania gęby trzy tysiące zapłacił!



— Co? Krawat dwa tysiące? A koszula cztery? Czyżby i to była drogeria?



— No, wreszciem dobrze trafił. Tu już za ten sam towar nie każą tak drogo płacić.



— Trza zapamiętać, że dziś w Polsce sklepy na dwie kategorie się dzielą. Jedne zwą się — spółdzielnie, a wszystkie inne — drogerie.

Marek Sadzewicz

WARSZAWA zawsze żywa

Kataklizm dziejowy zniszczył większość zabytków Warszawy, pomników jej przeszłości i kultury. Zniszczenie dotknęło nie tylko mury i dzieła sztuki. Również i **żywa tradycja** stolicy została w dużej mierze przerwana przez śmierć i rozproszenie po świecie ludzi, którzy ją w sobie nosili.

Niewielu już pozostało „starych warszawiaków". To co przechowywali w żywej pamięci powinniśmy zbierać i utrwalać z takim pietyzmem jaki mamy dla ocalałych murów i pomników.

Do nielicznych, żyjących przedstawicieli barwnego światka dawnej warszawskiej cyganerii artystycznej, należy malarz Kazimierz Lasocki. Jego charakterystyczna postać jest równie znana w Warszawie, jak jego obrazy, przedstawiające motywy wiejskie. Lasocki bowiem sam przysięgły warszawianin, jest zapamiętałym gawędziarzem. Pamięta też niejedno.

„Momus" kolebka P. Teatru

— Czy pan wie, gdzie właściwie narodził się teatr Polski? No, to ja panu powiem. W roku 1910 — powstał w Warszawie kabaret literacki, „Momus". Mieścił się w lokalu kawiarni - restauracji przy pl. Teatralnym, tam, gdzie później Oaza. Duszą imprezy był Arnold Szyfman, późniejszy twórca Teatru Polskiego, jego wieloletni i obecny dyrektor. Jak wskazuje nazwa kabaretu, Szyfman nawiązał tutaj do tradycji słynnego „Momusa" Alojzego Żółkowskiego. Było to nawiązanie słuszne i uzasadnione. „Momus" Szyfmana, podobnie jak „Momus" Żółkowskiego rozwijał się w latach okupacji carskiej, kiedy myśl polska, krępowana cenzurą wypowiadać się mogła swobodnie tylko „między wierszami" oraz w postaci ironicznej, żartobliwej przeważnie. Nie było trybuny gdzie mogłyby się swobodnie ścierać poglądy, gdzie polski intelekt mógłby kipieć nie przytłumiany zbytnio strychulcem rygorystycznej, tępej cenzury. Takim miejscem w pewnym przynajmniej stopniu — okazał się „Momus". Pod płaszczykiem i w przerwach pomiędzy lekką piosenką, niewinnym żartem, groteską sceniczną, przesuwał się giętki lancet satyry politycznej, krzyżowały się szpady krótkich polemik, zawsze przybranych w formę żartu, ostrego słówka.

Sytuację ułatwiało to, że w „Momusie" „grała" nie tylko scena, ale i publiczność. Niejednokrotnie do „kwestii" scenicznej mieszał się ktoś spośród siedzących przy stolikach widzów, rzucał słówko aktorowi i zmuszał go do natychmiastowej riposty.

To znowu po skończonym programie występowali na estradzie wolontariusze z publiczności, jak umieli i nie umieli. Wszystko w szampańskiej atmosferze intelektu podnieconego widowiskiem, słowem, towarzystwem i winem. Zresztą i sam program „podstawowy" — ten „dla cenzury" nie był bez wartości. Rozbrzmiewała tutaj lekka piosenka i rozchodziła się stąd „pod strzechy", jednak była to zawsze piosenka o poziomie i smaku artystycznym. Z tych pofrunęło w świat „Wiatr za oknami, śmieje się, psiakrew to życie takie złe"... Schillera, „Mały pokoik" Konarskiego, „Figurynka z porcelany" — Jastrzębca-Zaleskiego. „Na Czerniakowskiej" Mira Gajewskiego oraz wiele innych.

Spośród autorów monologów i innych szkiców scenicznych wymienię Boya, Nowaczyńskiego, Wincentego Rapackiego.

Szyfman był surowym i wybrednym reżyserem. Często odrzucał rzeczy już zapłacone, nierzadko „zdejmował" z estrady numery, które nie wypadły tak, jak oczekiwał.

Wykonawcami byli przeważnie zawodowi aktorzy, jak Pawłowski, Leśniewski, Borowska, Mary Mrozińska, Lili Lecka, Mika Mickun, która pod muzykę Brahmsa rysowała na ekranie figury taneczne. Zresztą występowali na estradzie w charakterze aktorów, czy conferencierów również i amatorzy, jak np. inż. Trojanowski, albo ja.

Inteligentna publiczność utrzymywała żywy, czynny kontakt z twórcami i wykonawcami. Publiczność była współtwórcą. Któż tutaj bywał. Spośród bywalców przypominam sobie red. Rabskiego, Ela-Laskowskiego, Przybylskiego, Kazimierza Wroczyńskiego, red. Erenberga, Wacława Grubińskiego, malarzy Sichulskiego i Kuczborskiego, oraz wielu innych ludzi pióra, talentu, intelektu, których wymienić niesposób.

Poza twórczością współczesną, oraz improwizowaną ad hoc, produkowano również humor staropolski w postaci wyjątków z dawnego „Momusa" oraz fraszek Potockiego, Reja, Kochanowskiego.

„Momus" nie tylko „promieniował" swoją piosenką i dowcipem, ale i wyjeżdżał na gościnne występy. Odbywał wyprawy aż do Kijowa i Odessy, witany entuzjastycznie przez tamtejszą Polonię. Tu i tam cieszył piosenką i zjadliwym nieraz dowcipem, który zawsze bywa chybszy, niż ciężki ołówek najbardziej gorliwego cenzora.

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

W dzisiejszym numerze ogłaszamy konkurs na „Ilustrowane Przysłowia".

Treść odgadniętego na podstawie rysunku przysłowia, należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 1 sierpnia br.

Wśród Czytelników, którzy nadeślą trafne odpowiedzi rozlosowanych zostanie:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH

oraz 10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA".

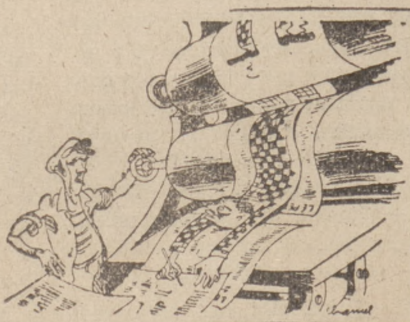
Zagadka Nr. 1.



O ile nowy konkurs zyska uznanie Czytelników — ramy jego oraz ilość nagród zostaną powiększone.

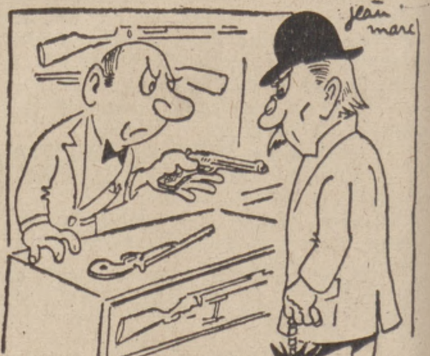
*

Nowa zagadka w następnym numerze.



- Zapomniałem podpisać swój artykuł.

„Samedi Soir".



— A poco mi dwustrzałowy, ja nie jestem bigamistą.

„Ici Paris".

TYDZIEŃ MODY



Lato jeszcze w całej pełni i zaledwie zdołaliśmy się przygotować do niego, ażeby w odpowiednich toaletach rozkoszować się jego dobrodziejstwami — tym czasem w Paryżu wielcy krawcy w „pocie czoła" tworzą dla nas kreacje nowego sezonu.

Z góry wiadomo, że jak zwykle u progu jesieni będzie królował kostium.

Ale jaki? — oto zagadka. Krótki, czy długi, wcięty czy luźny? — klasyczny „tailleur" czy też fantazyjny?

I oto możemy zdradzić już ten sekret. Modne będą najróżnorodniejsze stylizacje „taillerów" mocno wcięte z wyraźną linią talii i bioder, przeważnie jednorzędowe, zapinane na jeden lub trzy guzki. Żakety raczej dłuższe obowiązkowo z kieszeniami rozmaicie fantazyjnie ciętymi lub nakładanym.

Klapy nieco szersze niż dotychczas.

Fasony spódniczek także urozmaicone. Niby na pozór wąskie, lecz sprytnie rozszerzone głęboką mocną zaprasowaną fałdą z przodu lub tyłu.





A oto nieodzowne uzupełnienie kostiumu — bluzka — która przestaje być skromnym kopciuszkiem, lecz zajmuje coraz bardziej honorowe miejsce w ubiorze pań.

Toteż nie jest jak dawniej „standartowo" sportowa, lecz czasem bardziej strojna, zwłaszcza jeśli jest wykonana z żorżety, crepy — satinu lub też modnego tak obecnie nylonu spadochronowego.

J. T.

Ze względów technicznych rozwiązanie zadań IV konkursu „Tygodnia" na rozrywki umysłowe podamy w następnym numerze.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na miesiąc SIERPIEŃ

Rozwiązanie zadań pozakonkursowych

1. Rebus w Nr. 26 (50): Morze to Polski skarbnica.
2. Rebus w Nr. 27 (51): Na czynie polegaj, nie na słowach,
3. Schody magiczne w Nr. 27 (51): lupa, Urni, patela, aiegat, Tamara, ataman, Ramzes, Anzelm, Elba, smak.

Konkurs Autorski

W konkursie autorskim w ramach IV konkursu „Tygodnia" na rozrywki umysłowe najwięcej głosów zdobyli:

1. Nowakowski Alfred za Logogryf na wesoło w Nr. 20 (44).
2. Grójnacki Erazm za Krzyżówkę w Nr. 18 (42).
3. Malkowski Romuald za rebus w Nr. 22 (46).
4. Dr. Kaszubski Stanisław za rebus odśrodkowy w Nr. 16 (40) — i wobec tego tym autorom wysyłamy nagrody książkowe.

Prosimy wszystkich miłośników rozrywek umysłowych o współpracę i nadsyłanie projektów.

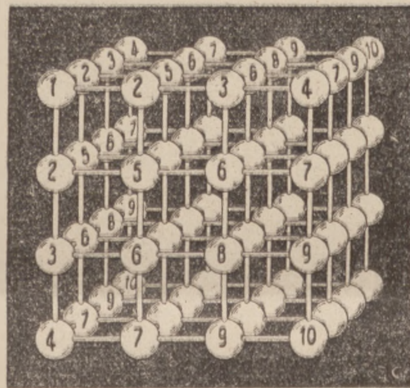
Wykaz nagrodzonych podamy w następnym numerze.

V KONKURS „TYGODNIA" *na rozrywki umysłowe*

Ogłaszamy V konkurs naszych rozrywek umysłowych, który trwać będzie do 1 września br. Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów, nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 15 września br. Konkurs ten, tak jak poprzedni połączony jest z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu wytypują trzy najlepsze zadania i podadzą na specjalnym kuponie, który zamieścimy przy zakończeniu tego konkursu.

Zadania nadesłane na konkurs poprzedni, a nie zamieszczone dotychczas będą wykorzystane w obecnym konkursie.

SZEŚCIAN MAGICZNY

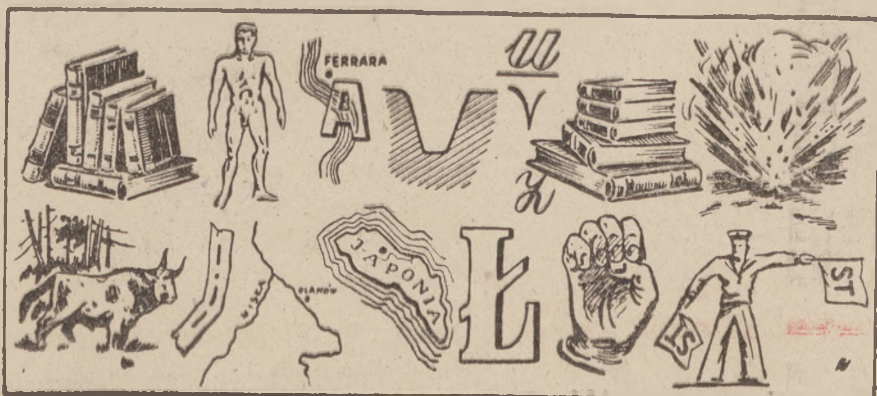


W daną figurę wpisać 10 wyrazów czteroglosKowych, czytanych w trzech kierunkach: poziomym, pionowym i w głąb. Podane liczby oznaczają początek wyrazów, czytanych w odpowiednich kierunkach.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Miejsce pierwszego cudu Chrystusa. 2. Rasa konia. 3. Ludy indonezyjskie w Manipurze. 4. W dawnych czasach tablica do wykonywania rachunków arytmetycznych. 5. Siódme wcielenie boga Wisznu. 6. Rzeka w Azji. 7. Port nad Adriatykiem. 8. Przelyk. 9. Bicz myśliwski. 10. Miara bawełny.

ul. Erazm Grójnacki



SKLEROZA

CO TYDZIEŃ NAGRODA

Prosimy Czytelników o przysyłanie nam wszelkiego rodzaju materiałów do „Sklerozy" z zaznaczeniem, skąd są wzięte i z potwierdzeniem ich autentyczności. Za najlepszą rzecz tygodnia PRZEZNACZAMY 150 ZŁ NAGRODY

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł, otrzymał p. Jan Turek (Kraków, ul. Gregórzecka 8 m. 5) za wycinki:

HURAGAN W ST. ZJEDNOCZONYCH

Nowy York (PAP). W nocy z czwartku na piątek szalał nad Północną Manitobą (Kanada) huragan, w czasie którego, wedle niekompletnych danych, 10 osób straciło życie, a 30 odniosło obrażenia (Dziennik zachodni z 6 lipca 1947 r.).

Czy cała Kanada, czy tylko Manitoba została włączona do Stanów Zjednoczonych?

50 WAGONÓW BEZCENNYCH KSIĘGOZBIORÓW W DRODZE DO KRAJU

Moskwa, 7 lipca (PAP). Zbiór bezcennych ksiąg i rękopisów polskich, przekazany ostatnio ambasadzie polskiej przez władze radzieckie wysłany został w dniu 4 lipca do Kraju specjalnym 50 TONOWYM WAGONEM pod opieką przedstawiciela ambasady polskiej w Moskwie i dwóch specjalnie odkomenderowanych pracowników radzieckiego Ministerstwa Komunikacji.

W Brześciu transport ksiąg odbierze przedstawiciel Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Na uznanie zasługuje praca bibliotekarek z biblioteki im. Lenina, które z wyjątkową troskliwością opiekowały się księgami, dbając, by cenny transport dotarł do Polski w całkowitym porządku (Dziennik Polski 8 lipca 1947 r.).

Z powyższej notatki trudno zrozumieć, czy bezcenne książki i rękopisy polskie przywiezione zostaną jednym „50-tonowym wagonem" ,czy w 50 wagonach jednotonowych.

MÓZG DO SPRZEDANIA

W Nr 188 „Ziemi Pomorskiej" z dnia 13 bm. znajdujemy następujące ogłoszenie:

Krechowiecki — Mózg w cenie 220 zł do nabycia w Księgarni „Czytelnik" Bydgoszcz, Dworcowa 14.

Przypuszczać należy ,że mowa tu o mózgu ludzkim, skoro sprzedaje się go w Księgarni „Czytelnik", a nie w sklepie rzeźnickim i to w cenie 220 zł (przypuszczać należy że za kilogram).

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 66-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna — 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa Nr 1-4766
Ogłoszenia: za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka" Warszawa Smolna 12 B-31985



Grzegorz Timofiejew

NIEZNANE PODROZE Ks. GINTUŁTA

Z TAJNIKOW SWIATOWEJ MASONERII



Ni nagiego ni ubranego poddawano próbom

Ilustrował Kazimierz Mann

Lew Tolstoj w „Wojnie i pokoju" dość ironicznie traktuje praktyki wolnomularskie. U schyłku XVIII wieku i na początku XIX obrzędowość w masonerii odgrywała dużą rolę. Ona stanowiła o urokach tego prądu ideowo - politycznego na zewnątrz, urzekała tajemniczością.

W literaturze naszej dominującą rolę masonerii w okresie wojen napoleońskich odmalował Stefan Żeromski w „Popiołach". Pamiętacie księcia Gintułta? Opis praktyk wolnomularskich tych czasów przynosi szkic St. Małachowskiego - Łempickiego pt. „Dawny obrzęd wolnomularski".

Obrzęd ten miał miejsce przy przyjmowaniu kandydata. Do sali specjalnie przybranej i wypełnionej przez uczestników uroczystości wprowadzano wstępującego do loży. Szedł prowadzony przez brata starszego z zawiązanymi oczami, z obnażoną piersią i jedną nogą do kolana. „Ni nagiego ni ubranego bez obrażenia atoli przystojności" poddawano próbom, które nosiły charakter symboliczny.

Kandydat odbywał „podróże" znamionujące oczyszczenie przez element ziemi, powietrza, wody i ognia.

W podłodze loży były drzwi ukryte, które prowadziły do studni na osiem łokci głębokiej. W studnię włożone zostały w równych odstępach ramy obciągnięte papierem. W ten sposób studnia była parokrotnie zamaskowana w kierunku poziomym. Kończyła się w podziemiu loży jakieś półtora metra ponad ziemią.

Kandydat został doprowadzony do skraju studni, która miała imitować przepaść: „Stoisz nad przepaścią — słyszy kandydat — głębokości, której oko nie zmierzy, może jest bezdenna, może sięga do środka ziemi. (Z przepaści daje się słyszeć brzęk kajdan, biją odory siarki i smoły). „Jeśli jesteś odważny i prawdziwe jest twoje powołanie do Zakonu naszego, wskocz do przepaści i dowiedz się z jakiej przyczyny pochodzi brzęk kajdan, smród siarki i smoły". Kandydat waha się, **lecz** zostaje siłą strącony w „przepaść". Spadając przebijał papierowe ramy, co wywoływało huk i przydawało strachu. U dołu stojący w pogotowiu mason chwytał padającego i mówił: „nie bój się! Anioł wstrzymał padającą na ciebie ziemię, dał dno przepaści...".

Na tym kończyła się „podróż" pierwsza, czyli oczyszczenie przez element ziemi. Obrzęd stanowił dla kandydata niemałą próbę nerwów. Ale to dopiero wstęp do dalszych praktyk. Następowało jeszcze oczyszczenie przez powietrze, wodę i ogień czyli dalsze kolejne „podróże".

Próbę odwagi stanowiło rzekome puszczanie krwi tyleż fikcyjne co ucieszne, bo kandydat miał przy tym nie mało strachu. Wstępującego do loży ciągle z zawiązanymi oczyma, sadzano na stołku i wyciągano jego obnażoną rękę. Tłumaczono mu, że krwią musi podpisać cyrograf. Jeden z braci wołał: „niechże przyjdzie dobry chirurg!" Na to padała odpowiedź: „Nie ma go, jest cyrulik". Wtem jakiś głos się odzywał: „Cyrulik? Czy i temu tak żyłę przetnie jak ostatniemu, skaleczonemu na całe życie?"

Kandydat słuchał i czuł jak mu włosy na głowie stawały dęba. Po ręku skazańca przeciągano żelazem i lano ciepłą wodę. Kandydat nie wątpił, że to płynie krew. Dookoła rozpoczynała się sprzeczka: „Potrzeba krwi trzy talerze. Nie, starczy dwa. Dosyć! Dajcie nowy talerz! Nie, dosyć, dosyć! Patrzcie, biedny zaczyna umierać, biały jak płótno".

„Stoisz nad przepaścią głębokości, której oko nie zmierzy"

Przekonawszy się jednak, że żyje — kandydat — składał z kolei przysięgę przed mistrzem. Zginał lewe kolano, prawą rękę kładł na ewangelię, lewą ręką przyciskał cyrkiel (nieodzowny symbol wolnomularstwa) do serca i powtarzał słowa przysięgi: „przysięgam przed świata Budownikiem na honor i zbawienie moje jako skrytości mularstwa z jak największą u siebie zachowam pilnością". W tym miejscu następowało straszne zaklęcie: „W wypadku przestąpienia pozwalam mieć gardło przerżnięte, serce i wnętrzności wyszarpane i do morskiej rzucone przepaści, ciało moje na popiół spalone i po wszystkich czterech częściach od wiatru rozproszone...."

Pozostawała jeszcze jedna próba z deską nabijaną gwoździami. „Oto deska z ćwiekami — słyszy kandydat — dotknij. Weź ją i połóż, gdzie ci wskażą. Potem bosymi nogami wskoczysz na gwoździe, jeśli szczerze przysięgałeś, gwoździe nie zaszkodzą ci wcale. W przeciwnym wypadku przebiją stopy i spowodują gangrenę ,od której umrzesz". W takiej chwili największy śmiałek zadrżałby. Ale droga wolnomularstwa wymagała prób i wyrzeczeń.

Gdy kandydat kładł we wskazanym miejscu deskę z gwoździami i odchodził na bok, by zdjąć obuwie, wtajemniczeni szybko podsuwali falsyfikat—drugą deskę, gdzie zamiast ostrych gwoździ sterczały ptasie pióra. Sprowadzano kandydata. Skakał nie bez strachu. Oczywiście wychodził z tej procedury bez najmniejszego szwanku. Obecni wznosili okrzyk: „Oto prawdziwy wolnomularz!"

Nowoprzyjęty otrzymywał godło wolnomularskie: fartuszek i rękawiczki. Wręczając fartuszek mistrz loży mówił: „Oto masz prosty fartuszek, lecz wiedz, bracie mój, że rozmaitymi czasy monarchów i książąt widywano w tym fartuszku ucznia. Staraj się przez gorliwość i nieustającą w pracach naszych pilność na większą zasłużyć nagrodę". Uwagi o tyle słuszne, że istotnie masoneria liczyła w swoich szeregach koronowane głowy. Do ostatnich czasów zmieniając się w formach i malejąc we wpływach zachowała jednak w swoich szeregach wysokie stanowiska i dostojeństwa. Obejmowała znaczną część świata, prócz ZSRR, gdzie była zabroniona. (Do ostatnich wybitniejszych masonów należał m. inn. zmarły prezydent Roosevelt i generał Władysław Sikorski).

Ale wróćmy do kandydata, który właśnie odebrał symbole wolnomularskie i został przyjęty do loży. Co następowało dalej? Oczywiście uczta.

Tak niegroźnie wyglądały obrzędy masońskie. Bo też w tym tkwiła tajemnica istotna wszechwładnej ongiś organizacji. Praktyki loży, oparte na symbolice i wiązaniu kandydata z grupą poprzez „tajemniczość" stanowiły tylko zewnętrzną stronę maskującą istotne ukryte cele masonerii, którymi było panowanie nad światem.

ACH, TE UPAŁY!





W Paryżu — obok elegantek w dłu gich i oryginalnych sukniach — spo tkać można w parkach panie w kostiumach plażowych. Te ostatnie jed nak są skwapliwie wyłapywane przez policję.



W najbliższych numerach: Włodzimierz Dzwonkowski, Edward Ligocki, kpt Ognisty, Stanisław Piętak, Jan Śpiewak, Jan Wiktor, Jadwiga Żylińska i inni